

Szacunek

wobec życia



Adres do korespondencji:

Łapiguz 73, 22-400 Zamość
tel. 515 244 234
redakcja@adeste.eu

Wydawca:

Stowarzyszenie Adeste, KRS: 0000759020

Redaktor naczelny:

Bartłomiej Wojnarowski – bartlomiej.wojna-
rowski@adeste.eu

Zastępca Redaktora naczelnego ds. jakości:

Piotr Bogdanowicz – piotr.bogdanowicz@
adeste.eu

**Zastępca Redaktora naczelnego ds. harmono-
gramów i planowania:**

Laura Korzeniowska

Sekretarz redakcji:

Krzysztof Działlik – krzysztof.dziallik@adeste.
eu

Redaguje zespół w składzie:

Nina Małgorzata Kogut (sekretarz miesięczni-
ka), Szymon Kozieja (kierownik działu kultura
i społeczeństwo), Konrad Myszkowski (kierow-
nik portalu adeste.eu), Antonio Akmadża, Jan
Borowski, Jan Buczyński, Marcei Hejwowski,
Piotr Ulrich, Olga Wachowiec, Marcin Worek.

Współpracownicy:

Mateusz Bednarek, Natalia Cywińska, Wojciech
Gałek, Patryk Kępczyński, ks. Mateusz Kopa,
Piotr Krajski, Krzysztof J. Namysłak, Dawid
Pindel, Tymoteusz Pyda, Joanna Smarzyńska,
Dorota Ślęczek, ks. Dawid Sebastian Tyborski,
Jakub Urbaniak, Krzysztof Wojtyra,

Kadra techniczna:**Okładka, grafiki promocyjne i opieka nad
serwerem:**

Tomasz Łukasik

Skład gazety w rozszerzeniu .pdf:

Maria Ulman

**Skład gazety w rozszerzeniach .epub i .mobi
oraz główny webmaster adeste.eu:**

Maciej Laskowski

Statystyk Adeste:

Mateusz Kosson

Grafik miesięcznika:

Joanna Miśkiewicz

Rysownik i art-designer:

Zofia Bryłka

Dział korekty:

Kinga Grodzka (kierownik działu korekty),
Dorota Białecka (zastępca kierownika działu
korekty), Mateusz Cich (korekta portalu),
Anna Róża Kuncewicz, Michał Przekwas,
Dorota Szewczak (korekta portalu), Magdale-
na Węglarz, Mikołaj Wolanin, Michał Żaczek,
Aleksandra Żak.

Dział rozwoju i promocji:

Anna Piontek (kierownik działu rozwoju i pro-
mocji) – promocja@adeste.eu,
Mateusz Bartkowicz, Zofia Bryłka, Agnieszka
Jarmułowska, Tomasz Leszczyński, Tomasz
Łukasik, Tomasz Puszczyk, Piotr Władysław
Sudoł.

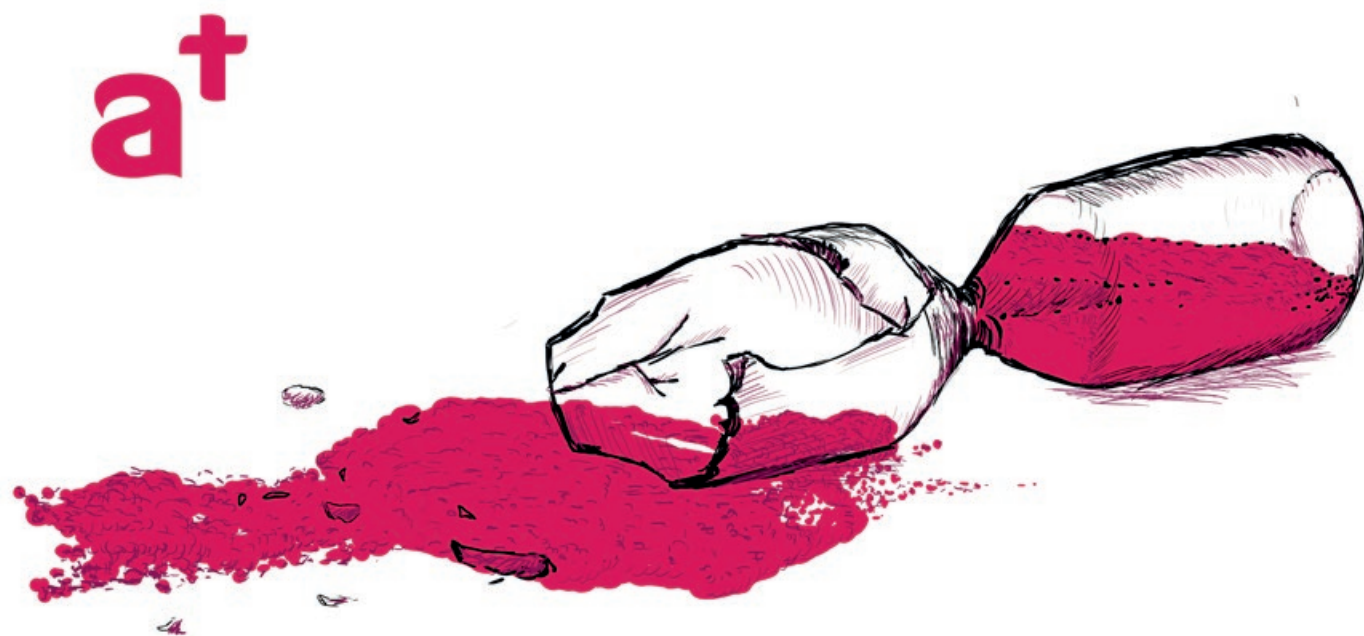
Konsultacja teologiczna:

Katarzyna Mich i Michał Ryłko

Post-korekta:

Joanna Miśkiewicz i Dominika Tomaszewska

A także każdy, kto modlitwą, pomocą, wspar-
ciem technicznym, finansowym czy organiza-
cyjnym przyczynił się do rozwoju tego dzieła.
+AMDG!+



Ilustracja: Zofia Bryłka

Spis treści

FELIETON WSTĘPNY

„A większość z nich to trud i marność”
Marceli Hejnowski

TEMAT NUMERU

Zabić za życie
Konrad Myszkowski

Pomiędzy dwiema datami...
Katarzyna Mich

Kościół nie obchodzi już urodzeni?
Laura Korzeniowska

U źródeł Planned Parenthood – historia
i poglądy Margaret Sanger
Szymon Kozieja

WIARA

Po co Adwent?
Piotr Bogdanowicz

„Trzykroć Przedziwna...”, czyli Ruch
Szentszacki
Marceli Hejnowski

Czy liturgie są potrzebne?
Piotr Ulrich

Listy Pielgrzyma, wpis trzeci
Tomasz Leszczyński

SPOŁECZEŃSTWO

Katolik po operacji nosa. Poprawiać Pana
Boga?
Joanna Smarzyńska

FELIETON ZAMKNIĘCIA

Po Namyśle – A po co mam wybierać?
Krzysztof J. Namysłak

Czas (męczącego) oczekiwania. Żeby nie zdrętwiało serce

Rozpoczął się Adwent. Tak, wszyscy zaraz odpowiedzą chórem: czas radosnego oczekiwania. Różnego typu frazesy o Maryi, Janie Chrzcicielu znamy już niemal na pamięć. Przywykliśmy do tego. Ale to tylko jedna strona tego zimowego okresu w liturgii. Przyzwyczailiśmy się także do brutalnego marketingu, kolęd, które wepchnęły się nam drzwiami i oknami jeszcze pod koniec listopada czy trochę wyświechtanych żartów spikerów z radia i telewizji o prezentach pod choinkę. Przez natłok obowiązków te cztery tygodnie większości z nas umykają. Trzeba kupić wszystkim prezenty, pozatławić swoje sprawy, wrócić do rodzinnego domu ze studiów bądź miejsca pracy. Ciągłe jeszcze nie umiemy oddychać Adwentem. A jest to nam dzisiaj potrzebne bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. W erze fast-foodów, uzależnienia od elektroniki oraz szybkiej i płytkiej miłości istnieje ryzyko, że także religia może stać się dla nas spożywanym na szybko pokarmem.

Adwentem mamy się delectować. Czuć go. Smakować go. I jestem daleki od pouczania i udawania, że ja jednak daję radę się wyciszyć, oderwać na 100% i być całkowicie z boku. Jednak myślę, że jest coś, co damy radę zrobić wszyscy: uspokoić serce. Wyciszyć falę naszej duszy, która w ciągu roku zajęta jest ciągłą dyskusją, problemami, wątpliwościami. By mniej duchowo mówić, a więcej słuchać.

Może uda nam się trochę wyćwiczyć w nadziei. Zamiast nerwowo i na ostatnią chwilę szukać internetowych rekolekcji warto wykonać gesty do szpiku kości najprostsze: wesprzeć misję, odwiedzić kogoś smutnego czy przybitego chorobą. Zapytać wreszcie, skąd żal i wątpliwości.

Ostatecznie chodzi przecież o to, by to był czas świętego i pogodnego oczekiwania, a nie męcząca szarpanina między *sacrum* i *profanum*. Bo jeśli bez przygotowania wyjdziemy na ten światowy mróz, może nam zdrętwieć serce. I wtedy przyjmijmy Chrystusa pełni niepewności, a nie radości. Może w tym roku zrobimy to inaczej – w wyjątkowy sposób.

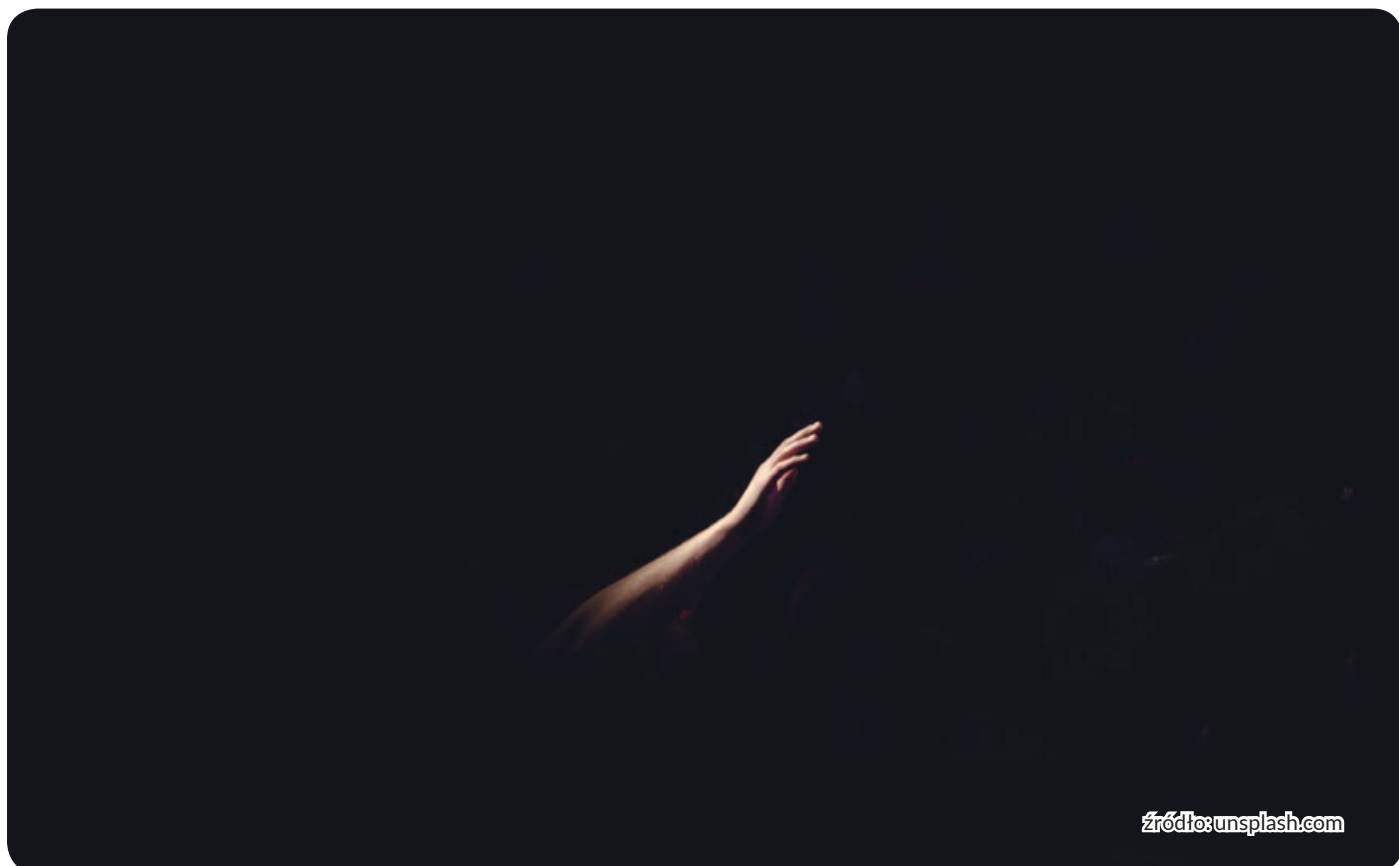


Z życzeniami dobrej lektury

Bartłomiej Wojnarowski, redaktor naczelny „Adeste”



źródło: unsplash.com



źródło:unsplash.com

„A większość z nich to trud i marność”



Marceli Hejwowski

Życie jest trudne. Życie jest wymagające. W życiu doświadczamy wiele cierpienia. „Życie jest tylko przechodnim półcieniem,/ Nędznym aktorem, który swoją rolę/ Przez parę godzin wygrawszy na scenie/ W nicość przepada – powieścią idioty,/ Głośną, wrzaskliwą, a nic nie znaczącą”.

Te słowa Williama Shakespeare’a z *Makbeta* nie są prawdziwe w świetle katolickiej wiary. Ale w tych naprawdę trudnych momentach wielu z nas by się pod nimi podpisało.

W piosence *Hurt* zespołu Nine Inch Nails pojawiają się słowa „I focus on the pain/ The only thing that’s real”. Ból. On naprawdę boli. Cierpienie nie jest czymś ulotnym. Zmagania człowieka to nie udawanie. Śmierć, strach, zło wyrządzane przez ludzi, rozpacz – to wszystko istnieje. I nie jest czymś odległym.

„Optymizm jest ślepy, pesymizm jest gorzki” – stwierdził francuski poeta Jean Cocteau. Przyjaciel kiedyś powiedział mi: „Może lepiej byłoby być człowiekiem głupim i naiwnym; być szczęśliwym w swojej ignorancji”. Tym przemyśleniom wtóruje pogląd Romualda Jana Hubego, dziewiętnastowiecznego polskiego polityka i prawnika: „Pesymizm to jedynie nazwa, jaką ludzie o słabych nerwach nadają mądrości”.

Czy mądrość musi wiązać się z cierpieniem? Czy trzeźwe spojrzenie na otaczający nas świat musi nas przygnębić? Odpowiem – tak. Jestem młody, ale wiele już widziałem.

Znajomi, wciąż zmagający się z traumą, którą zafundowali im rozwodzący się rodzice. Rozłąmy w rodzinach, nienawidzący się bliscy. Przekręty i powszechna nikczemność osób piastujących rozmaite urzędy. Młodzi ludzie, prawie dzieci, będący świadkiem brutalnych morderstw. Przyjaciel zmagający się z ciężką depresją. Przytłaczająca świadomość, że ujawniane ostatnio przypadki pedofilii wśród duchowieństwa to zaledwie jedna z głów tej paskudnej hydry osadzonej w różnych środowiskach...

Pojawiają się momenty diametralnie zmieniające spojrzenie na życie. Czymś takim może być śmierć osoby bliskiej nam lub przyjacielowi, wizyta u kogoś z rodziny przebywającego w szpitalu psychiatrycznym. Albo hospicjum. To chwila, w której orientujesz się, że życie jest bardziej kruche, niż ci się zdawało. „Nic tak nie budzi, jak pistolet przystawiony do głowy” – jak to powiedział jeden z bohaterów wyprodukowanego przez HBO serialu *Sukces* (chor. *Uspjeh*). Takie chwile są jak wyjście odciętego od wszelkich trosk Buddy do świata, dostrzeżenie przez niego starości, choroby i śmierci.

Ktoś mógłby zapytać – co właściwie dzieje się w tym tekście? Skąd ten pesymizm u autora, skąd te dziwne odwołania, w tym jedno do buddyzmu? Cierpienie, trud, odraza do ziemskiego życia to rzeczywistości uniwersalne.

„Miarą naszego życia jest lat siedemdziesiąt, osiemdziesiąt, gdy jesteśmy mocni. A większość z nich to trud i marność, bo szybko mijają, my zaś odlatujemy” – rzecze nam psalmista (Ps 90, 10). „Naucz nas liczyć dni nasze, byśmy zdobyli mądrość serca” (Ps 90, 12). „Prochem jesteś i w proch się obrócisz” (Rdz 3, 19). Można mnożyć cytaty z Pisma Świętego mówiące o nieuchronności cierpienia i przemijaniu życia. Już Księga Rodzaju jest *de facto* genezą ludzkiego bólu.

Dosyć szybko intuicja odpowiedziała wierzącym semitom, że skoro życie jest takie



źródło: unsplash.com

trudne i bolesne, to musi istnieć życie po śmierci, które wynagrodzi ludziom szlachetnym ich trudy na tym padole łez. I ostatecznie na tym opiera się nasza nadzieja. Nadzieja, druga z trzech cnót teologicznych, ma charakter eschatologiczny. Odwołuje się nie do materii i doczesności, ale do ducha i wieczności. Do tego, że również nasze ciała zmartwychwstaną.

Skoro Bóg naszą drogę – nasz powrót do raju – tak zaprojektował, iż ma ona urzeczywistnić się przez nasze szlachetne życie i dobrą śmierć, to ma to sens. Życie ma sens, chociaż jest trudne, chociaż często wręcz nieznosnie paskudne. Chociaż nie wyjdziemy stąd żywi.

„Moje życie ma sens” – zapamiętaj sobie, czytelniku, te słowa. Choć często możesz chcieć powtórzyć za Jokerem: „Chciałbym, żeby moja śmierć miała więcej sensu niż moje życie”. Życie ma sens, jego sens zawiera się w Bogu, który jest Sensem i Źródłem Sensu.

Wiara, nadzieja i miłość – te trzy cnoty wiodą nas do zjednoczenia z Bogiem, do szczęścia wiecznego. Na tym świecie nigdy nie będziemy pełni radości, zawsze będzie nam coś doskwierać.

Będąc świadomym tej marności, warto pamiętać o radzie z Księgi Koheleta: „Ciesz się, młodości, w młodości swojej,/ a serce twoje niech się rozwesela za dni młodości twojej./ I chodź drogami serca swego/ i za tym, co oczy twe pociąga;/ lecz wiedz, że z tego wszystkiego/ będzie cię sądził Bóg!” (Koh 11, 9).



Żyć, ciesząc się z drobnych rzeczy i zachowując bojaźń Bożą. Mówić zawsze prawdę. Dbać o dobre relacje z ludźmi. Brać leki, które przepisują lekarze, tak jak napisano: „Czcij lekarza czią należną z powodu jego posług, albowiem i jego stworzył Pan” (Syr 38, 1). Brać je w dobry sposób, zgodnie z zaleceniem. Porządkować przestrzeń swojej pracy, nauki. Nie marnować czasu. Nie przeciążać się bodźcami. Traktować siebie jako kogoś, kto może być wartościowy i pomocny dla innych ludzi. Sprzeciwiać się temu, co niesłuszne i niesprawiedliwe. Codziennie kontemplować Słowo Boże. Szukać wytchnienia we mszy świętej, adorować Ciało Pańskie. Z uwagą słuchać innych. Słuchać dobrej muzyki. Czytać książki i rozmyślać nad nimi. Doceniać artystów z różnych dziedzin, których dzieła nam się podobają. Pić dobrą herbatę lub kawę.



źródło: unsplash.com



źródło: unsplash.com

Proste, konkretne zasady, które mogą sprawić, że w życiu będziemy mieli większe poczucie sensu. Lepsze samopoczucie. Będzie nam łatwiej z jeszcze większym męstwem wziąć swój krzyż na ramiona. Krzyż, przed którym nie uciekniemy.

a⁺



źródło:unsplash.com

Zabić za życie



Konrad Myszkowski

Trudne tematy wiążą się najczęściej z trudnymi dyskusjami. Trudne dyskusje z kolei niejednokrotnie przeradzają się w spory i kłótnie. Eskalacja emocji powoduje, że pierwotna różnica stanowisk traci znaczenie na rzecz obrony swojej racji za wszelką cenę. Ceną tą staje się personalny atak na rozmówcę (który właściwie nie jest już rozmówcą, a przeciwnikiem), kłamstwo, manipulacja, a w najgorszym przypadku – argumenty siłowe. Szkoda tylko, że najbardziej na tym wszystkim cierpi prawda.

Oczywiście, powyższy schemat pasuje do przeróżnych zagadnień społecznego dyskursu, skupmy się jednak przede wszystkim na jednym z nich – debacie dotyczącej moralnej oceny, a co za tym idzie prawnej dopuszczalności aborcji. Spór na ten temat jest współcześnie bardzo gorący i często powraca, choć jego poszczególne odstony mają zwykle bardzo podobny przebieg. Zarówno po stronie *pro-choice*, jak i *pro-life* znajdziemy pewne powtarzające się argumenty, których można spodziewać się przy okazji dowolnej dyskusji na temat aborcji. Wśród nich pojawiają się także wzajemne oskarżenia o przemoc, co – szczególnie w przypadku strony *pro-life* – powoduje konsternację spowodowaną brakiem pomysłu, jak na taki atak odpowiedzieć. Tymczasem problem „antyaborcyjnej przemocy” realnie istnieje, a hasło *anti-abortion violence* posiada nawet własny, rozbudowany artykuł w anglojęzycznej Wikipedii. Znajdujemy w nim wzmianki o licznych i poważnych przypadkach terroryzmu, włączając w to postrze-

lenia, zabójstwa (najczęściej lekarzy-aborcjonistów, jak chociażby dr. S. Rogersa w Australii w 2001 r., dr. G. Tiller w Kansas w 2009 r. czy dr. D. Gunna na Florydzie w 1993 r.), strzelaniny, ataki bombowe na centra aborcyjne, a nawet porwania dzieci. Problem nie jest więc pomijalny. Czy jednak istnienie takiego rodzaju przemocy kompromituje wszystkie postulaty ruchu *pro-life*?

Dyskusja, racja, eskalacja

Zacznijmy nasze rozważania od podstaw, czyli od kilku fundamentalnych pytań. Po pierwsze: kto jest odpowiedzialny za przemoc (czy to słowną, czy fizyczną), kłamstwa tudzież manipulacje dokonywane w imię dowolnej idei? Tu odpowiedź jest prosta – odpowiedzialny jest ten, kto się takich czynów dopuszcza – niezależnie od tego, czy jego idea jest słuszna, czy też nie. Trudniejszym pytaniem jest: kto jest odpowiedzialny za eskalację wzajemnej agresji? Tu jednak również należałoby wskazać na wszystkich tych, którzy – świadomie lub nie – niweczą dyskusję, sprowadzając ją z poziomu wymiany racji na poziom wymiany ciosów, a więc przenosząc ją ze sfery intelektualnej do sfery emocji. Do głowy przychodzi zatem kolejne pytanie: komu zależy na tym, żeby spór stawał się coraz mniej merytoryczny?

W tym miejscu odpowiedź jest już inna. Jakkolwiek bowiem winnych eskalacji emocji i napięć możemy znaleźć po obydwu stronach, tak trzeba przyznać, że sytuacja ta jest na rękę tylko jednej ze stron. Konkretnie – tej, która nie ma racji. To proste – ten, kto rzeczywiście broni prawdy, jest w stanie uzasadnić swoje stanowisko logicznymi twierdzeniami, zatem w jego interesie jest, aby dyskusja miała charakter jak najbardziej merytoryczny. Wówczas za pomocą posiadanych argumentów może on udowodnić swoje racje oraz obalić argumenty strony przeciwnej, przekonując tym samym innych dyskutantów do swojego stanowiska. Przeciwnie jest w przypadku osób chcących przekonać innych do uznania ich punktu widzenia, ale nie posiadających dowodów za nim przemawiających. Wówczas zamiast argumentów stosuje się emocjonalne pseudoargumenty, kłamstwa, manipulacje oraz personalne ataki na drugą stronę. Powoduje to nie tylko, jak już wspomniano, spadek poziomu dyskusji, ale prowadzi również do wzajemnej agresji.



Widać to jak na dłoni w przypadku sporu o aborcję, w którym ruch *pro-life* ma po swojej stronie argumenty naukowe oraz moralne. W naszym, jako obrońców życia, interesie jest więc prowadzenie dyskusji na gruncie tych właśnie twierdzeń. Obronę życia należy więc prowadzić z głową i opanowaniem, a najgorszym, co możemy zrobić, to dać się sprowokować. Nie zawsze jest to łatwe, ale innej drogi nie ma

– każda przegrana ruchu *pro-life* prowadzi do śmierci kolejnych nienarodzonych dzieci. Tym bardziej szkodliwe dla przeciwników aborcji, a pośrednio dla całej ludzkości, są wspomniane we wstępie akty antyaborcyjnego terroryzmu. Warto jednak przeanalizować wykorzystanie ich istnienia w retoryce strony *pro-choice*.

Nie zabijaj. Nigdy

Generalnie istnienie aktów przemocy motywowanej poparciem dla legalizacji bądź delegalizacji aborcji jest chętnie stosowane jako argument przez obydwie strony sporu. Nie wspominałem jeszcze co prawda o przemocy motywowanej *pro-aborcyjnie*, jednak historia zna również takie przypadki. Przywołać można chociażby morderstwa aktywistów *pro-life* (np. Angela Sanchez, Guadalupe Negron, Mysha Rose – zamordowana przez własnego męża), porwania dzieci, molestowanie, a nawet akty pedofilii (jak np. dr Ronald Tauber, który po odsiedzeniu wyroku za molestowanie sześcioletniej dziewczynki powrócił do pracy jako aborcjonista). Wracając jednak do tematu – jakkolwiek każde z wyżej wymienionych przestępstw jest wielką tragedią, tak ich istnienie nie stanowi argumentu dla żadnej ze stron. Argumentowanie stanowiska *pro-choice* (tak samo jak *pro-life*) tym, że druga strona dokonuje morderstw, przestępstw seksualnych czy zamachów terrorystycznych, jest niepoprawne logicznie. Prawdziwość głoszonej tezy nie ma bowiem związku z zachowaniem osoby, która jej broni.

Drugim faktem, który należy mieć na uwadze, jest skala problemu. Zdaje się, że z jego wyolbrzymianiem częściej spotkamy się po stronie *pro-choice* – tak czy inaczej, po obydwu stronach jest ono nieuprawnione i niczego nie dowodzi, rozpalać jedynie emocje. Oczywiście nie wolno deprecjonować żadnej z antyaborcyjnych zbrodni, jednak trzeba przyznać, że są one w ruchu *pro-life* zjawiskiem marginalnym. Przede wszystkim – samo targnięcie się na czyjeś życie jest zaprzeczeniem podstawowego postulatu *pro-life*, czyli ochrony życia właśnie. Jasne jest więc, że czynów takich nie popełniają ludzie o świadomości i logicznie ukształtowanej postawie *pro-life*, a jedynie fa-



źródło: unsplash.com

natycy lub osoby z problemami psychicznymi. Ich zbrodnie nie kompromitują zatem idei *pro-life*, wpływają jednak destrukcyjnie na debatę publiczną oraz postrzeganie przeciwników aborcji w ogóle.

W tym kontekście warto również zwrócić uwagę na powiązanie postawy wobec aborcji z religijnością. Dość powszechne jest łączenie postawy *pro-life* z chrześcijaństwem (w polskich realiach – z przynależnością do Kościoła katolickiego), a postawy *pro-choice* z religijną obojętnością (która stanowi często przy-

krywkę dla agresywnego antyklerykalizmu). Jest to jednak nieuprawnione uproszczenie, mające na celu polaryzację społeczeństwa i stworzenie fałszywego przeciwieństwa: z jednej strony *pro-life*, Kościół i religia, z drugiej – *pro-choice*, nauka i postęp. Jest to oczywista bzdura, gdyż argumentacja strony *pro-life* wychodzi poza sferę racji religijnych i jest z gruntu naukowa, sam zaś problem moralnej oceny zabijania nienarodzonych dzieci jest istotny bez względu na wyznanie. Niestety, dochodzi również do prób obciążania Kościoła odpowiedzialnością za *anti-abortion violence*, co ułatwia fakt, iż najbardziej znana amerykańska organizacja terrorystyczna tego nurtu nosi nazwę *Army of God* (Armia Boga). Nie trzeba chyba tłumaczyć, że osoby traktujące przykazanie „nie zabijaj” wybiórczo nie mają z chrześcijaństwem, a tym bardziej z katolicyzmem, zbyt wiele wspólnego.

Temperatura sporu o aborcję oraz związane z nim przestępstwa są z wielu względów zjawiskiem niepożądanym, a nieraz wręcz tragicznym. Jako stronnicy ruchu *pro-life* musimy jednak pamiętać także o tym, że to wszystko jest nie na rękę zwłaszcza nam, gdyż to my posiadamy logiczne i naukowe argumenty na poparcie naszych racji. *Pro-life* może zwyciężyć tylko poprzez merytoryczną dyskusję i wytrwałe tłumaczenie słusznego stanowiska – każdy akt agresji, emocjonalność czy nawet sarkazm zagłuszają nasze argumenty. Dotyczy to zresztą nie tylko aborcji – tak samo sprawa ma się w przypadku chociażby debaty na temat ideologii LGBT, ideologii gender, eutanazji czy wielu innych obszarów sporu światopoglądowego. Należy więc zawsze i wszędzie dbać o poziom dyskusji – niezależnie, czy jest to rozmowa ze znajomymi, dyskusja w rodzinie, w miejscu pracy czy z nieznajomymi w internecie.



źródło: unsplash.com



Pomiędzy dwiema datami...



Katarzyna Mich

Na tablicach grobów między datą urodzenia i datą śmierci jest zwykle mały znak „-” symbolicznie oznaczający całe nasze życie. Nieważne, ile przeżyliśmy, jakie zdobyliśmy doświadczenie, a może nawet wycierpieliśmy, nasze życie sprowadza się do kreski pomiędzy dwiema skrajnymi datami.

Można by rzec, że przecież nikt (lub prawie nikt) nie funduje zmarłym epitafiów, w których wychwalałoby się ich żywot. Najważniejsze to urodzić się i umrzeć, bo historię życia zna Bóg. Jednak te dwie daty – urodzenia i śmierci, a raczej kreska między nimi, doskonale obrazują to, co obecnie ma miejsce w debacie na temat ochrony życia. Przyglądając się ludziom Kościoła, można bowiem odnieść wrażenie, że dyskusja dotycząca ochrony życia sprowadza się jedynie do problemu narodzin i naturalnej śmierci człowieka...

A co pomiędzy? Karaluchy i śmieci

Rok 1994. Czerwona ziemia afrykańskiego kraju przesiąknięta milionami ludzkich istnień mimo stacjonujących tam sił pokojowych ONZ. Maczety i porąbane ciała. O rwandyjskim ludobójstwie dużo już napisano, jednak o wielu sprawach jakby zapomniano. Nikogo nie obchodzą tysiące ludzi, którzy

przeżyli, a których koszmary i trauma doprowadzają do szaleństwa, nawet po 25 latach od tych tragicznych wydarzeń. Tego mordu można było uniknąć (zwłaszcza na tak wielką skalę). A jednak chcemy zapomnieć o żywych, bo są wyrzutem naszego sumienia, sumienia wielu chrześcijan...

25 lat później pogarda wobec życia człowieka powraca w środowiskach, które chciałyby nieść sztandar wiary katolickiej i stanąć w jej obronie przed zalewem hord imigrantów niosących Europie jedno: islamizację. Głód, brud, choroby, brak nadziei i poczucie przegranego życia to obraz wielu obozów dla uchodźców, zwłaszcza w Afryce, ale również i tu, w Europie. A ich mieszkańcy to karaluchy, nie-ludzie, śmieci – to jedne z wielu określeń, które padały pod adresem tych, którzy z różnych powodów wyruszyli do Europy. I nadal padają. Niezależnie od tego, co jest powodem wędrówki uchodźców – socjal lub ucieczka przed wojną, pogarda i pozbawianie ich człowieczeństwa są niedopuszczalne, a tym bardziej nie mogą się tego dopuszczać wyznawcy Jezusa Chrystusa.

Rachunkiem sumienia nie tylko dla opinii publicznej, ale przede wszystkim dla katolików w Polsce powinny być słowa biskupa Krzysztofa Zadarki, który w wywiadzie dla KAI z okazji 105. Dnia Migrantów i Uchodźców w 2019 r. przyznał, że słowa najbardziej urągające godności uchodźców usłyszał z ust najbardziej zdeklarowanych katolików, czyli tych, którzy walczą z aborcją i eutanazją, określających siebie mianem obrońców życia. Bo przecież zadeklarowany katolik nie może być zwolennikiem aborcji czy eutanazji.

Wartość życia pedofila

Czy życie każdego człowieka ma więc dla katolików jakąkolwiek godność i świętość? A może „godność i świętość” są tylko wtedy, kiedy człowiek jest dobry? Będzie to budzić wstręt i oburzenie w wielu katolikach, ale każde życie jest święte, nawet mordercy dziecka, pedofila, terrorysty (sic!). Ilu z nas – zrobimy szczerzy rachunek sumienia – pozbawiłoby zbrodniarza miana człowieka i wysłało go do gazu bądź na krzesło elektryczne? W dyskusji o eutanazji wybrzmiewa okrzyk: „Tylko Bóg ma prawo odebrać życie człowieka”. To prawda. Ale gdy dochodzimy do problemu kary śmierci, wielu



Źródło: pixabay.com

konserwatywnych katolików wręcz żąda jej dla tych, którzy dokonali obrzydliwych czynów. Choć nikt nie powie tego wprost, to przekaz jest wyjątkowo zrozumiały: skoro nie są ludźmi, a bestiami czy karaluchami, to trzeba ich zabić, a nie trzymać w więzieniu i utrzymywać z podatków, także z podatków ich ofiar. Życie pedofila, gwałticiela jest tak samo święte jak ich ofiar i również każdego z nas. Obrzydliwe? Ale jakże prawdziwe. Żadna zbrodnia czy grzech nie są w stanie sprawić, że można pozbawić człowieka prawa do naturalnej śmierci.

Niejednokrotnie w dyskusji społecznej dotyczącej kary śmierci pojawia się zdumiewająca sprzeczność. Wielu obrońców życia z łatwością zgodziłoby się na karę śmierci przy jednoczesnym sprzeciwie wobec eutanazji i aborcji. Również po drugiej stronie można tę sprzeczność zauważyć. Przeciwnicy kary śmierci często są równocześnie zwolennikami prawa do aborcji. Jednak dla katolika sprawa powinna być prosta: każde życie jest święte, niezależnie od tego, czy jest się zbrodniarzem, czy ofiarą.

Sama rozłożyła nogi

Tak łatwo ją wskazać palcem. Młodziutka matka z brzuchem, jakże często w środowiskach prokatolickich wytykana, bo „rozłożyła nogi”. A ona najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Wyzywana od najgorszych ładacznic. Dla niej prościej byłoby, żeby dziecka nie było. A jednak zdecydowała się (sama bądź pod przymusem rodziców) urodzić. Życie jej dziecka w oczach katolików jest święte, ale wielu z nich depcze świętość i godność życia jej samej. Czy życie matki, nawet młodziutkiej, niemającej męża, nie przedstawia takiej samej wartości jak życie każdego innego człowieka? Odpowiedź znów zaboli: ma taką samą wartość jak życie każdego człowieka, bowiem w oczach Boga każde życie jest święte i stanowi wartość samą w sobie. Ale wielu uważających się za prawdziwych wyznawców Jezusa Chrystusa chciałoby wartość i świętość życia niejednego człowieka zdeprecjonować, a w ten sposób pokazać światu, że to oni są tymi dobrymi, przykładnymi katolikami, którzy co niedzielę siedzą w pierwszej ławce. Zapominają o swojej grzeszności, ale z łatwością osądzają życie innych.



źródło: pexels.com

„Czub” za ścianą

Sporo mówi się o ochronie życia chorych dzieci, zwłaszcza tych upośledzonych psychicznie i fizycznie. Wielu obrońców życia źródło wszelkiego zła widzi już w badaniach prenatalnych, bo są one wyrokiem śmierci wobec tych, których obecny świat nie chce. Ale znów zrobmy sobie rachunek sumienia z tego, jaki jest nasz stosunek wobec ludzi z upośledzeniem fizycznym lub umysłowym. Zdecydowana większość z obrzydzeniem patrzy na tych Innych, których zachowania nie mieszczą się w kanonie postaw ludzkich. Wrzeszczącego, obślinionego „czubka” nikt nie chciałby mieć za ścianą jako sąsiada, bo będzie wrzeszczał, krzyczał... Najczęściej pojawiają się wręcz żądania

oddania takiego człowieka do ośrodka. Ale czy na tym ma polegać ochrona życia od poczęcia do naturalnej śmierci? Czy jesteśmy w stanie przejść od żądań (i to słusznych) do czynów? Zaproponować pomoc sąsiadom opiekującym się chorym członkiem rodziny?



„Śmierdziel” w autobusie

Ochrona życia to również współodpowiedzialność za życie drugiego człowieka, który z różnych powodów nie potrafi poradzić sobie w życiu. Zwłaszcza w dużych miastach, bo na wsiach ten problem występuje sporadycznie, kiedy to mijamy ludzi, na widok i zapach których „chce nam się rzygać”. Niejednokrotnie zdarza nam się określać ich mianem śmierdzieli i zapomnieć, że w oczach Boga ich życie ma taką samą wartość jak nasze. Widzimy w nich znów podludzi... A słowa Chrystusa: „Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili” (Mt 25, 40) lekceważymy. Przypomnieć tu należy historię biskupa Carlosa Arturo Gomeza z Kolumbii, który przebrał się za bezdomnego w trakcie diecezjalnego kongresu duszpasterstwa społecznego. Zamiast pomocy spotkała go obojętność katolików, którzy debatowali nad problemami społecznymi w diecezji. Czy to nie absurd?

Krzyk ziemi

Do ochrony życia należy również troska o ziemię i wszystkich jej mieszkańców. Odpowiedzialne korzystanie z zasobów naturalnych i szacunek dla każdego życia, także zwierząt, jest obowiązkiem wszystkich katolików, bowiem one również zostały stworzone przez Boga. Otrzymaliśmy ziemię z jej olbrzymim bogactwem naturalnym od Boga. Musimy pamiętać, że nie jest ona naszą własnością, lecz jak dobitnie zauważył Mały



Księżę, pożyczaliśmy ją od naszych dzieci. Czy jako przykładni katolicy, obrońcy życia wyrażamy sprzeciw wobec katowania zwierząt, eksperymentów na nich lub umyślnego zanieczyszczenia świata przez nielegalne wysypiska, palenie śmieci, rabunkową działalność gospodarczą? Działania te każdorazowo wołają bowiem o pomstę do nieba i słusznie zostały uznane za grzech. Czy po prostu milczymy?

Wielu powie: mnie to nie dotyczy. Segreguję przecież odpady, kocham zwierzęta, nie palę śmieci w piecu, używam wielorazowych opakowań... I chwala Ci za to, jednak niereagowanie na zło wobec świata jest również grzechem. Zgoda na to, aby sąsiad paleniem śmieci zatruwał powietrze, przymykanie oka, jak i obojętność na wyrzucanie śmieci do lasów również jest niegodne katolika, ale i obrońcy życia.

Rachunek sumienia obrońcy życia

Wielu przecież uważa, że najprościej jest zostawić pomoc wszelkim fundacjom bądź stowarzyszeniom. Ludzie myślą, że wystarczy krzyczeć, że aborcja i eutanazja to zło i muszą zostać zakazane. Przy czym nie interesuje ich życie tego, który już jest na świecie, już się urodził. Wielu odbiera godność i wartość jego życia, bo przecież sam tego chciał. A jednak i jego Bóg kocha, tak jak tych wielu obrońców życia, którzy zagubili drogę... Odnajdźmy ją i szanujmy każde życie, bo każde jest święte i chciane przez Boga, nawet jeśli wielu myśli inaczej. Poświęćmy choć godzinę na pomoc drugiej osobie, starszej sąsiadce, rodzicom albo na wolontariat w hospicjum, czy w innej fundacji. Dostrzeźmy, że każde życie, nawet pedofila czy młodocianej matki, mimo wszystko jest święte i nie nam dane jest ich osądzać.



Kościół nie obchodzi już urodzeni?



Laura Korzeniowska

Często w dyskusjach o aborcji pada stwierdzenie, że Kościół chroni życie od poczęcia tylko do momentu urodzenia, a później już się tym życiem nie interesuje. Czy tak faktycznie jest? Sprawdzam!

Dyskusje prowadzone wokół kontrowersyjnych tematów zawsze są pełne emocji i niekoniecznie trafnych argumentów. Nie inaczej jest w przypadku aborcji. Kościół (jego nauczanie, biskupi i wierni) za każdym razem, gdy ten temat wpływa, przypomina o świętości życia od poczęcia aż do naturalnej śmierci, postuluje zmiany w prawie mające na celu całkowitą ochronę życia, wykluczającą możliwość dokonania aborcji z jakichkolwiek przyczyn (sytuacja ratowania życia matki to nie aborcja). Często pod takimi postulatami rozpętuje się burza z naczelnym argumentem, że Kościół (tutaj prawdopodobnie jako instytucja) nie interesuje się już urodzonymi, że najważniejsza jest tylko zygota, a jak dziecko przyjdzie na świat, to nikt nie pomoże ani jemu, ani jego rodzicom. A jak jest naprawdę?

Zacznijmy od początku

Gdy rodzice nie mogą zająć się swoim nowo narodzonym dzieckiem, mają możliwość oddania go do okna życia. Co to właściwie jest? Alternatywa dla matki, która chce pozostać anonimowa. Nie zastępują one szpitali, gdzie kobieta może pozostawić dziecko, jednocześnie zrzekając się do niego praw. Okna



życia są ogrzewane i wentylowane, by zapewnić bezpieczeństwo maluszkom. Po pozostawieniu dziecka włącza się alarm, a osoba opiekująca się oknem wzywa pogotowie (by zapewnić opiekę medyczną noworodkowi) i zawiadamia sąd rodzinny (by uruchomić procedury administracyjne umożliwiające późniejszą adopcję). Dzieci w oknach życia przebywają krótko, prosto z nich są zabierane do szpitala, a później do ośrodka preadopcyjnego. W Polsce funkcjonuje sześćdziesiąt jeden okien życia (dane ze strony www.caritas.pl) z czego

czterdzieści pięć (73,8% wszystkich okien życia) jest prowadzonych przez Kościół (większość przez zakony i zgromadzenia żeńskie, a także Caritas, parafie i diecezje). No fajnie, może ktoś powiedzieć, ale tu dzieci są tylko na chwilę, a co później? No to idźmy dalej.

„Ja nie zapomnę”

Powyższy cytat pochodzi oczywiście z Pisma Świętego i w całości brzmi on następująco: „Czyż może niewiasta zapomnieć o swym niemowlęciu, ta, która kocha syna swego łona? A nawet, gdyby ona zapomniała, Ja nie zapomnę o tobie” (Iz 49,15). Jak już wspomniałam w poprzednim akapicie, dzieci z okien życia trafiają do ośrodków preadopcyjnych. Czy w takim razie pomoc Kościoła kończy się na przekazaniu dziecka z okna życia w bliżej nieokreślone „gdzieś dalej”? Otóż nie. Jeśli chodzi o to, co ustawodawca nazywa ogólnie instytucjonalną pieczę zastępczą, to jest takich placówek w Polsce 1165 (dane GUS za 2018 r.). Spośród owych instytucji wyróżnia się ośrodki opiekuńczo-wychowawcze o profilu socjalizacyjnym, interwencyjnym, specjalistyczno-terapeutycznym, rodzinnym oraz instytucje łączące zadania kilku powyższych. Oprócz tego w Polsce działają również regionalne placówki opiekuńczo-terapeutyczne oraz interwencyjne ośrodki preadopcyjne. Wszystkie te instytucje zapewniają podopiecznym całodobową opiekę i wychowanie oraz zaspokajają niezbędne potrzeby, w tym te emocjonalne. Regionalne placówki opiekuńczo-terapeutyczne służą dzieciom, które ze względu na stan zdrowia wymagają specjalistycznej opieki, a interwencyjne ośrodki preadopcyjne przyjmują dzieci do pierwszego roku życia, czekające na przysposobienie, a wymagające specjalistycznej opieki. Trzeba zaznaczyć, że większość (72,4%) tych instytucji prowadzonych jest przez lokalne samorządy (wojewódzkie, powiatowe, gminne). Kościół prowadzi 119 takich placówek, co stanowi 37,0% placówek prowadzonych przez jednostki sektora prywatnego. Co ciekawe, w naszym kraju funkcjonują tylko trzy interwencyjne ośrodki preadopcyjne, w tym jeden właśnie kościelny (GUS).

Kobietę, też jesteś ważna

A jeśli matka nie chce porzucać swojego dziecka, ale znajduje się w trudnej sytuacji? By zaradzić takim problemom, powstały domy samotnej matki. I tu widoczny jest duży wkład Kościoła. W Polsce jest pięćdziesiąt pięć takich domów, z czego trzydzieści trzy (60,0%) prowadzone są przez organizacje kościelne lub związane z Kościołem. Z tych trzydziestu trzech domów Caritas prowadzi piętnaście, a dziesięć – zakony i zgromadzenia żeńskie (dane ze strony www.mamaniejestsama.pl). Domy samotnej matki mają za zadanie zapewnić miejsce do życia osobom (matkom z dziećmi, kobietom w ciąży) w sytuacji, gdy te nie mają się gdzie podziać lub ich zdrowie i życie jest zagrożone. Często oprócz dachu nad głową kobiety otrzymują też wsparcie finansowe i psychologiczne.

Tylko tyle?

No dobrze, ale to nie wystarczy, nie pokryje wszystkich potrzeb – można by zarzucić. Owszem, ale pamiętajmy, że oprócz wymienionych wyżej instytucji funkcjonuje jeszcze cała masa kościelnych i katolickich organizacji, stowarzyszeń, fundacji, ośrodków itp., które swoją działalnością obejmują matki, dzieci, niepełnosprawnych, ubogich, bezdomnych i innych potrzebujących. Na koniec kilka przykładów. Jedną z bardziej znanych organizacji, głównie dzięki naprawdę zaangażowanej postaci jej prezesa, księdza Tomasza Kancelarczyka, jest Fundacja Małych Stópek. Jej misją jest ochrona każdego poczętego życia. Swoje cele realizuje nie tylko poprzez promocję wartości *pro-life* czy edukację, ale także bardzo konkretną pomoc specjalistyczną i materialną. Kobiety (i ich dzieci), które trafiają pod skrzydła Fundacji, mają niejed-



nokrotnie zapewniane mieszkanie, środki do życia i opiekę nad dzieckiem, pomoc prawną czy psychologiczną. Swoją działalność Fundacja prowadzi nie tylko na terenie Szczecina, gdzie ma siedzibę, ale również w całej Polsce, a niektóre inicjatywy mają charakter międzynarodowy. Fundacja zaczerpnęła nazwę i ideę od Bractwa Małych Stópek, wspólnoty osób *pro-life*, która jednak nie ma struktury formalnej. Bractwo przez swoją działalność między innymi w social mediach, stronę internetową, grafiki i filmy stara się docierać do obrońców życia od poczęcia i ich integrować, a także edukować i wpływać na opinię publiczną. Fundacja początkowo angażowała się głównie w organizację Marszu dla Życia w Szczecinie, jednak wraz z czasem i ofiarnością darczyńców rozszerzyła swoje działania i teraz coraz skuteczniej pomaga kobietom i dzieciom zagrożonym aborcją (www.dlazycia.info). Inna instytucja, o której ostatnio było głośno, to Dom Pomocy Społecznej w Broniszewicach prowadzony przez siostry dominikanki. Zapewniają one schronienie oraz specjalistyczną pomoc pięćdziesięciu sześciu chłopcom o różnym stopniu niepełnosprawności intelektualnej i fizycznej. Mieszkańcy domu podzieleni są na cztery grupy pod względem wieku i stopnia niepełnosprawności. Wielu chłopców ma niepełnosprawności sprzężone. Siostry mają do czynienia w swojej pracy z całym spektrum dysfunkcji. Są wychowankowie, którzy nie widzą, nie słyszą, z zespołem Downa, z zaburzeniami ze spektrum autyzmu, dotknięci porażeniem mózgowym czy epilepsją. Duża część z nich nie porozumiewa się z otoczeniem w sposób werbalny, wielu z nich nie wykształciło nawyku gryzienia, co utrudnia przyjmowanie pokarmów. Mimo tych wszystkich trudności i ograniczeń siostry tak na swojej stronie mówią o wychowankach: „Każdy tutaj jest chciany i akceptowany takim, jaki jest. Każdy też chętnie dzieli się z drugimi »tym darem, jaki każdy otrzymał« (1 P 4, 10)” (www.broniszewice.dominikanki.pl).

...do naturalnej śmierci

O tym, jak ważna jest ochrona życia do naturalnej śmierci, dobitnie świadczy *Wspólna Deklaracja w kwestiach dotyczących końca życia* podpisana 28 października 2019 roku w Watykanie przez przedstawicieli monoteistycznych religii abrahamowych, czyli judaizmu, chrześcijaństwa i islamu. Przedsta-



Podopieczni DPS w Broniszewicach,
prowadzonego przez siostry
dominikanki

źródło: yt.com

wiciele tych religii odrzucili możliwość eutanazji i wspomaganego samobójstwa. W dokumencie zachęca się do organizowania opieki paliatywnej. W 2017 r. działało w Polsce dziewięćdziesiąt pięć hospicjów i sześćdziesiąt sześć oddziałów opieki paliatywnej (GUS), z czego około 1/3 prowadzona była przez organizacje kościelne.



Kościół to my wszyscy

„A Ty byś adoptował takie (w domyśle niepełnosprawne, niechciane itp.) dziecko?”. Takie pytanie zdają się rzucać w twarz katolikom osoby *pro-choice*, gdy my postulujemy ochronę każdego życia. Nie każdy jest powołany do stworzenia rodziny adopcyjnej. Jest to trudne powołanie i chwata tym rodzinom, które je realizują. To w takim razie co ja i Ty, Drogi Czytelniku, możemy zrobić dla ochrony życia? I tu znowu można by wymieniać tysiące przykładów. Po pierwsze wolontariat – wiele domów dziecka, organizacji na rzecz niepełnosprawnych, fundacji czy w końcu hospicjów potrzebuje pracy wolontariuszy i chętnie ich przyjmuje w swoje szeregi. Nie masz na to czasu, możliwości? Nie szkodzi. Możesz przekazać kilka złotych na rzecz tych organizacji. Większość z nich udostępnia na swoich stronach internetowych lub fanpage’ach numer konta, na które można przekazywać datki. Nie trzeba czekać na zorganizowaną zbiórkę, można pomóc, siedząc za swoim własnym biurkiem. Jesteś biedny, jak wszyscy w tym kraju (parafrazując klasyka)? Dowiedz się o różnych fundacjach, organizacjach – co robią, jak można się do nich zgłosić i mów o tym. Szerz dobrą nowinę, bo po pierwsze może trafi to do kogoś, kto takiej pomocy potrzebuje, a nie wiedział gdzie szukać, a po drugie wytrąci z ręki ten bezsensowny argument, że dla urodzonych dzieci nic się nie robi. I najważniejsze – nie bójmy się mówić, że jesteśmy za życiem. Nie od poczęcia do urodzenia, tylko od poczęcia aż do naturalnej śmierci. Nikt nie mówi, że będzie łatwo, ale Pan Bóg 365 razy w Piśmie Świętym woła do nas, byśmy się nie bali. Odwagi!

Zamiast zakończenia

Oczywiście, że nie jest idealnie. Oczywiście, że mogłoby być lepiej, że można by bardziej pomagać, angażować więcej środków finansowych. Nie zmienia to jednak faktu, że Kościół nie porzuca dzieci tuż po narodzeniu, że nie zostawia rodziców na pastwę losu, że czynnie uczestniczy w opiece nad potrzebującymi. W końcu Kościół to taka Matka, która nie „może zapomnieć o swym niemowlęciu, ta, która kocha syna swego łona” i, wspomagając swoje dzieci na ich ziemskiej drodze, prowadzi je do Ojca.



U źródeł Planned Parenthood – historia i poglądy Margaret Sanger



Szymon Kozieja

Współcześnie Planned Parenthood chrześcijanom w Polsce kojarzy się z najpotężniejszą korporacją przemysłu aborcyjnego, w której klinikach często dochodzi do protestów członków ruchu pro-life. Warto zapoznać się z postacią jej założycielki.

Urodziła się 14 września 1879 roku w Corning, w stanie Nowy Jork. Pochodziła z ubogiej wielodzietnej rodziny. Relacje w domu były patologiczne. Michaela Higginsa, ojca Margaret, odznaczono za użycie podstępów w celu ujarzmienia odpornej ludności. Higgins bił swoich synów, wykorzystywał niewolniczo córki i żonę. Nie był skory do pracy – miał się raczej dorywczych robót. Matka była katoliczką i próbowała przekazać swoje wartości dzieciom – samą Margaret potajemnie ochrzciła. Cierpiała na gruźlicę, a na domiar złego zdiagnozowano u niej wczesne stadium raka macicy – bardzo prawdopodobne, że z tego powodu zmarła. W oczach Margaret za śmierć matki odpowiedzialny był ojciec, nie zaś okrutna choroba. Pani Higgins była 18 razy w ciąży, co według młodej córki miało przyczynić się do szybkiej śmierci. Ojciec określał się mianem wolnomysliciela – po odejściu matki kategorycznie zakazał dzieciom praktykowania wiary. Co więcej, szydził z niej przy dzieciach. Nie pozostało to bez wpływu na młodą Margaret.

Biologia i Marks

Dzięki pomocy swoich sióstr Margaret dostała się do Claverack College w Hudson. Nie była pilną uczennicą – wręcz przeciwnie – opuszczała zajęcia, dlatego została usunięta ze szkoły. W kolejnej szkole również nie zagrzała miejsca. Miała jednak interesować się medycyną i biologią, zatem swoje kroki skierowała ku szpitalowi, na praktyki pielęgniarskie.

W 1902 roku wyszła za architekta Williama Sangera. Dzięki temu uniezależniła się finansowo od ojca i mogła zacząć własną działalność. Urodziła także trójkę dzieci – dwóch synów i córkę, którymi miały się opiekować głównie osoby trzecie. Właśnie w tym czasie wydano także *Kapitał*, najważniejszą książkę głównego ideologa komunizmu – Karola Marksa. Zawierała ona jego poglądy na gospodarkę i społeczeństwo. Margaret, zafascynowana ideologią marksistowską, wstąpiła do partii socjalistycznej i żywo zaangażowała się w jej działalność. Znalazła się także pod wpływem Eugene’a Debsa, który popierał postulaty „wyzwolenia seksualnego kobiet”, „wolności urodzeń” i metod tzw. „kontroli urodzeń”.

Rozpad rodziny

Margaret Sanger zaczęła coraz bardziej zaniedbywać rodzinę. Brała udział w strajkach, a jej dom zmienił się w miejsce spotkań partyjnych. Margaret i jej mąż podjęli próbę ratowania związku, ale czarę goryczy przelały jej zainteresowania promiskuityzmem seksualnym (tzn. seksem z przypadkowymi osobami bez więzi emocjonalnej) i tematem kontroli urodzeń. William zabrał ją ze sobą do Paryża, ale kobieta uciekła z dziećmi z powrotem do Stanów Zjednoczonych. Rozwiodła się z mężem w atmosferze skandalu – jej swobodne kontakty seksualne stały się dość znanym faktem.

W tym momencie działalność ideologiczna stała się źródłem jej dochodów. Łamiąc prawo dotyczące rozpowszechniania treści





Margaret Sanger w Nowym Jorku,
1917 rok.

źródło: wikimedia.org

obscenicznych, rozprowadzała pisma i broszury propagujące „kontrolę urodzeń”. Były tam zawarte takie porady jak... płukanie pochwy m.in. lizolem, który w przypadku złego rozpuszczenia mógł doprowadzić do śmierci kobiety. Krytykowała NPR, twierdząc, że jest możliwość zajścia w ciążę w każdym momencie cyklu. Atakowała także instytucję rodziny i powoływała się na coś, co określiła jako prawo do lenistwa dla kobiet. Głosiła idee rewolucyjne i broniła zamachowców politycznych. Nakład jej tekstów mógł osiągać liczbę setek tysięcy – to nie mogło ująć uwadze władz. Margaret Sanger, zagrożona perspektywą kary pozbawienia wolności za dystrybucję treści obscenicznych, ratowała się więc ucieczką do Wielkiej Brytanii. Jej dzieci zaś trafiły do opiekunów zastępczych.

Nowe otoczenie – nowe inspiracje ideologiczne

Podróż za ocean dała Margaret Sanger okazję do obudowania światopoglądu teoriami, które w oczach ludzi mogły nosić znamiona naukowości. Inspiracje czerpała z idei eugeniki stosowanej wobec ludzi, rozumianej m.in. jako „eliminowanie osobników noszących cechy niepożądane”. Kolejną inspiracją stały się poglądy Thomasa Malthusa, którego twórczość w tamtych czasach odbijała się szerokim echem. Rozważania mężczyzny skupiały się wokół kwestii przeludnienia wynikającego z wysokiego wzrostu demograficznego i małej ilości żywności. Rozwiązanie tego problemu upatrywał w liczebnym ograniczeniu rozwoju ludności. Renesans jego myśli – neomaltuzjanizm – to propozycja kontroli urodzeń oraz ograniczenia działalności charytatywnej.

Jak zauważył polski badacz problemu eugeniki i bioetyki prof. n. med. Michał Musielak w książce *Sterylizacja ludzi ze względów eugenicznych w Stanach Zjednoczonych, Niemczech i w Polsce (1899–1945)*, Margaret Sanger była przywódczynią ruchu neomaltuzjańskiego i opowiadała się za eugeniką negatywną, czyli za eliminacją chorych i nieprzystosowanych ze społeczeństwa.

Należy dodać, że ówczesne teorie eugeniczne są współcześnie odrzucane jako niemające naukowych podstaw, a narodziły się one przed rozwojem genetyki na wysokim poziomie.

Powrót

Po rocznym pobycie na emigracji Margaret Sanger powróciła do swojego kraju pochodzenia. Tam już w 1916 roku założyła nielegalną klinikę „planowania rodziny” w nowojorskiej dzielnicy imigranckiej. Po rozbiciu kliniki przez policję i aresztowaniu całej grupy przestępczej Margaret nie poddała się. Wyszła za kaucją 500 dolarów i znów zajęła się nielegalną działalnością. Została skazana na 30 dni więzienia, a po odbyciu kary stała się aktywna publicznie. Jej sława miała zataczać coraz szersze kręgi – otrzymywała mnóstwo listów, a sama jeździła na konferencje po całych Stanach. Oprócz kwestii seksualnych podnosiła istniejącą w jej mniemaniu potrzebę zastosowania eugeniki negatywnej wobec ludzi chorych oraz sterylizację ras uważanych przez część ówczesnego świata nauki za genetycznie niższe.

W 1921 założyła organizację American Birth Control League – przyszłe Planned Parenthood. W swoich publikacjach krytykowała działalność charytatywną jako sentymentalną i patriarchalną oraz atakowała rodziny wielodzietne, uważając, że sprzyjają biedzie, a także wyrażała obawę przed zalaniem społeczeństwa przez „złowrogie siły hord nieodpowiedzialności i imbecylności” (Margaret Sanger, *The pivot of civilization*, Nowy Jork 1922), czyli przez osoby niepełnosprawne intelektualnie.

Margaret wyszła ponownie za mąż w roku 1922 za milionera Noaha Slega, a w 1923 roku założyła swoją pierwszą legalną klinikę.

Rasizm w sterylnym opakowaniu eugeniki?

Margaret Sanger, wspierana finansowo oraz pisarsko przez swoich wpływowych przyjaciół (w tym prawdopodobnie także partnerów seksualnych), zdobywała coraz szersze kontakty w środowisku rasistowskim oraz umożliwiała ludziom o poglądach rasistowskich publikację ich tekstów. Pozwalała na artykuły m.in. o sterylizacji eugenicznej Ernsta Rüdina, niemieckiego lekarza psychiatry, odpowiedzialnego za



Aresztowanie Margaret Sanger

źródło: wikipedia.org

propagowanie „higieny rasowej”, a później w czasach drugiej wojny światowej za akcję T4, której liczbę ofiar (zagazowanych, rozstrzelanych lub celowo otrutych) szacuje się na ok. 200 000. Margaret napisała ponadto rasistowską przedmowę do pracy Lothrop Stoddarda oraz wystąpiła na spotkaniu kobiecego oddziału Ku Klux Klanu.

Nieco ponad rok przed dojściem Adolfa Hitlera do władzy w Niemczech powiedziała w swoim przemówieniu:



„Zastosować należy surową i sztywną politykę sterylizacji i segregacji wobec tej klasy ludności, której potomstwo jest skażone, albo której dziedziczenie jest tego typu, że cechy niedopuszczalne mogą być przenoszone na potomstwo” (Margaret Sanger, *My Way to Peace*, 17 stycznia 1932, za: *pch24.pl*).

Miała jednak w prywatnej korespondencji wyrazić ubolewanie nad agresywnością nazistowskiej działalności eugenicznej.

Czas poprzedzający II wojnę światową był okresem największego rozwoju eugeniki. Stosowano ją w Stanach Zjednoczonych i licznych państwach Europy. W Polsce również pojawili się jej zwolennicy, ale ulegli oni marginalizacji – niektórzy z nich nie zmienili poglądów nawet po doświadczeniach nazizmu.

W ramach **Project Negro** Margaret Sanger zakładała kliniki „planowania rodziny” skierowane do ludności czarnoskórej. Według krytyków celem jej

działania była eugenika rasistowska, natomiast apologetci twierdzili, że chodzi o dostarczenie usług „planowania rodziny” bez względu na rasę.

Po wojnie, aby uniknąć skojarzeń z nazizmem, American Birth Control League zmieniła nazwę na Planned Parenthood Federation.

Trudność w poznaniu pełnej prawdy o Margaret Sanger

Dla ruchu feministycznego została ona jednak postacią dość niejednoznaczną: poważaną, ale ze skazami. We współpracy z biologiem Gregorym Pincusem przyczyniła się znacząco do **powstania pigułki antykoncepcyjnej**, a także do **legalizacji możliwości informowania o metodach antykoncepcji**. Jej obrońcy na zarzut kontaktów ze środowiskiem rasistowskim często odpowiadają, że były to po prostu „takie czasy”, a Margaret Sanger chciała dotrzeć do jak największej grupy odbiorców.

Margaret Sanger zmarła 6 września 1966 roku, ale dyskusja, kim naprawdę była, trwa do dzisiaj.

Trudno przebić się przez szum medialny do prawdy o jej życiu – z jednej strony można znaleźć teksty o niej o wiele bardziej nieprzychylne niż ten, a z drugiej kompletnie wybielające jej postać. Zapraszam więc czytelników do samodzielnego szukania informacji. W Polsce jej kwestię poruszyła m.in. Bogna Białecka w artykule *Margaret Sanger: Anioł Śmierci* dla czasopisma „Frona” (nr 47/2008). Jako źródła dostępne są też teksty samej Margaret Sanger w języku angielskim, pod linkiem <https://www.nyu.edu/projects/sanger/webedition/app/documents/>. Tematem najbardziej żywym i budzącym kontrowersje pozostaje podejście Margaret Sanger do aborcji i ludności czarnoskórej.

a⁺



Ciacho za Ciacho

„Ciacho za ciacho” to akcja organizowana przez grupę charytatywną „Szpunt”, działającą przy Duszpasterstwie Akademickim Beczka w Krakowie.

To całonocny **kiermasz książek i ciast, z którego całkowity dochód przekazywany jest na wybrany cel charytatywny.**

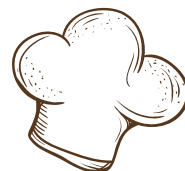
Kwesta jest przeprowadzana już od kilkunastu lat i przybiera coraz większe rozmiary. Akcja organizowana jest dwa razy do roku: przed Bożym Narodzeniem i Wielkanocą

W 2018 roku udało się pobić rekord – w zimowej edycji zebraliśmy ponad 114 600 zł!

Dzięki dotychczasowym edycjom udało się m.in.: zbudować studnię w Sudanie, zakupić rentgen dla szpitala w Ugandzie, zbudować szkołę w Kamerunie, wyremontować szkołę w Iraku oraz zakupić mleko terapeutyczne dla niedożywionych dzieci w Kongu.

Najbliższa edycja przeznaczona będzie na wsparcie stowarzyszenia s. Anny Bałchan "Po-Moc"

Jej podopiecznymi są kobiety, wraz z dziećmi, które stały się ofiarami handlu ludźmi, czy też prostytucji. **Celem zbiórki będzie pokrycie kosztów wyjazdu terapeutyczno-integracyjnego dla nich i dla ich dzieci, aby mogły odciąć się nieco od smutnej rzeczywistości i spróbować zbudować na nowo relacje.**



Najbliższa edycja odbędzie się w niedzielę **15 grudnia 2019 r.**, na krużgankach klasztoru oo. Dominikanów przy ul. Stolarskiej 12 w Krakowie.



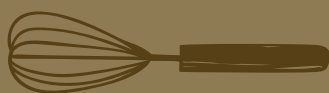
Kontakt z nami:



szpunt.charytatywnie@gmail.com



Ciacho za Ciacho





źródło:unsplash.com

Po co Adwent?



Piotr Bogdanowicz

Rozpoczyna on nowy rok kościelny, dzieci wyczekują go ze względu na roraty i związane z nimi lampiony bądź różnego rodzaju „atrakcje” w trakcie liturgii. Ale czy wiemy, czym jest Adwent?

Z jednej strony radosne oczekiwanie, z drugiej – pokutny fiolet. Przygotowanie do Bożego Narodzenia, lecz z ambony głoszona jest Ewangelia o końcu świata. Skąd się wziął Adwent? Jaka jest jego natura? Czym są wspomniane roraty i jakie znaki towarzyszą nam w tym okresie roku liturgicznego?

Nieco historii

Sama nazwa pochodzi z łacińskiego *adventus*, co jest tłumaczeniem greckich słów *epifaneia* oraz *parusia*. W świecie starożytnego Rzymu termin ten miał dwa znaczenia: świeckie i religijne. W znaczeniu świeckim *adventus* oznaczał przyjazd dygnitarza po objęciu urzędu. W języku religijnym mówił on o przybyciu bóstwa do świątyni. Dla chrześcijan niejako naturalnie zaczął oznaczać przyjście Chrystusa na świat (zarówno jeśli chodzi o Wcielenie, jak i powtórne przyjście na końcu czasów).

Chcąc natomiast zbadać początki Adwentu w Kościele, należy cofnąć się w zasadzie do pierwszych wieków chrześcijaństwa. Źródła prowadzą do liturgii galijskiej i hiszpańskiej. *Liber officiorum* – którego autorstwo przypisywane jest Hilaremu z Poitiers, a zatem mamy drugą połowę IV w. – wzmiankuje o okresie postu przed Bożym Narodzeniem. Tak też z upływem lat poszczególne wspólnoty i Kościo-

ty wprowadzały różne okresy przygotowawcze do świąt Bożego Narodzenia. Niektóre zakony ustalały początek Adwentu już na 14 lub 24 września. Dopiero po upowszechnieniu się w V wieku świętowania Bożego Narodzenia 25 grudnia zaczął dominować w Kościele Adwent wypracowany w Kościele galijskim. Kształtował się on pod mocnym wpływem misjonarzy iroszkockich, którzy kładli zdecydowanie większy nacisk na przygotowanie się do drugiego przyjścia Pana na końcu czasów. Stąd, podobnie jak Wielki Post, miał on charakter pokutny.



źródło:unsplash.com

W liturgii rzymskiej Adwent początkowo liczył sześć niedziel, jednak w czasach Grzegorza Wielkiego zredukowano go do czterech tygodni. Nie miał on też charakteru pokutnego związanego z przygotowaniem na powtórne przyjście Chrystusa. Jednak w XII wieku wpływy liturgii galijskiej spowodowały przejście niektórych elementów przez liturgię rzymską. Wśród nich było między innymi oczekiwanie na Paruzję, a w związku z tym pokutne znaczenie tego okresu, fioletowy kolor szat liturgicznych i opuszczanie śpiewu Gloria w czasie Eucharystii.

Znaczenie Adwentu

Współcześnie Kościół, mówiąc o Adwencie w dokumencie *Ogólne normy roku liturgicznego i kalendarza*, stwierdza, że „okres Adwentu ma podwójny charakter. Jest okresem przygotowania do uroczystości Narodzenia Pańskiego, przez którą wspominamy pierwsze przyjście Syna Bożego do ludzi. Równocześnie jest okresem, w którym przez wspomnienie pierwszego przyjścia Chrystusa kieruje się dusze ku oczekiwaniu Jego powtórnego przyjścia na końcu czasów. Z obu tych względów Adwent jest okresem pobożnego i radosnego oczekiwania” (nr 39).

Czterotygodniowy okres przygotowania liturgicznie podzielony jest na dwie części. Pierwsza, trwająca do 16 grudnia, mówi o oczekiwaniu na powtórne przyjście Zbawiciela, Paruzję. To pełne napięcia czuwanie powinno wyrażać się także poprzez osobiste nawrócenie w spowiedzi świętej. Drugą część (17–24 grudnia) charakteryzują specjalne formularze mszalne na każdy dzień. Jest to czas bezpośredniego przygotowania do Bożego Narodzenia.

Nie jest on już co prawda – jak dawniej – okresem pokutnym, lecz nie zmienia to faktu, że zgodnie z chwalebną tradycją warto do tych ważnych świąt przygotować się duchowo. Na pierwszy plan oczywiście wysuwa się wspomniana wyżej spowiedź święta. Nie będzie źle, jeśli podjęte zostaną kroki czy postanowienia wzmacniające naszą wolę, a jednocześnie będące jakimś wyrzeczeniem, zaparciem się siebie z miłości do Boga i drugiego człowieka. Wciąż trzeba mieć tu na uwadze podwójny charakter tego oczekiwania, a w związku z tym całkiem na poważnie potraktować ostrzeżenie: „Uważajcie na siebie, aby wasze serca nie były ociężałe wskutek obżarstwa, pijaństwa i trosk doczesnych, żeby ten dzień nie przyszedł na was znienacka; jak potrzask” (Łk 21,34).

Znaki Adwentu

Liturgia przepełniona jest znakami, które odsyłają nas do rzeczywistości daleko bardziej wykraczającej poza świat materialny. Również czas Adwentu odznacza się charakterystycznymi znakami, wyróżniającymi go spośród innych okresów liturgicznych. Są nimi roraty, świeca adwentowa oraz wieńiec adwentowy.

Samo pochodzenie mszy roratnich (nazwa wzięła się z pierwszego słowa pieśni na wejście: *rorate*, i są to msze ku czci Najświętszej Maryi Panny) nie jest do końca zbadane. Być może ich obecność w Polsce jest wynikiem przeszczepienia praktyk liturgicznych stosowanych na Zachodzie. Najstarsze ślady obecności rorat na naszych ziemiach sięgają XIII wieku. Szybko zdobywały popularność, by w wieku XVI osiągnąć swój szczyt rozwojowy, który przejawiał się m.in. w tym, że w niektórych miejscach odprawiano je przez cały rok.

Roratka, bo tak nazywa się specjalna świeca, którą zapala się na mszach roratnich, również ma wiele wyjaśnień. Z racji, że dawniej podczas Eucharystii paliło się sześć świec, zapala-



źródło:unsplash.com



źródło: pixabay.com

nie siódmej w czasie rorat odnoszono do siedmioramiennego świecznika ze świątyni jerozolimskiej. Liczbę świec łączono także z siedmioma darami Ducha Świętego, siedmioma boleściami i radościami Maryi, czy nawet z siedmioma stanami dawnej Polski. Dziś jednak roratka symbolizuje Maryję, Matkę Bożą, która była Jutrzenką przed wschodem prawdziwego Słońca – Jezusa Chrystusa.

Z kolei wieniec adwentowy, najmłodszy symbol w liturgii, wywodzi się z kręgów protestanckich. Na wieńcu znajdują się cztery świece symbolizujące cztery kolejne niedziele Adwentu. Ogień świec jest m.in. symbolem nadchodzącego Chrystusa. Zieleń gałązek, z których upleciony jest wieniec, oznacza nadzieję na zwycięstwo światła i życia nad ciemnością i śmiercią. Z kolei wieniec, jego światło, zieleń i forma jako całość symbolizują wspólnotę Kościoła oczekującą w miłości i radości na przyjście Pana.

Adwent jest zatem oczekiwaniem. Radosnym, pobożnym oczekiwaniem. Żeby jednak było nim autentycznie, cechować je musi nie tylko osobiste nawrócenie, lecz także wyjście do drugiego człowieka z Dobrą Nowiną, Nowiną która nie musi zawsze oznaczać wielkich kazań i elaboratów. Częściej przyjmie ona postać pomocnej dłoni wyciągniętej do potrzebującego pomocy, szalika podarowanego bezdomnemu, zrobienia zakupów i zaproszenia na kawę starszej, samotnej i schorowanej sąsiadki.



„Trzykroć Przedziwna...”, czyli Ruch Szensztacki



Marceli Hejwowski

„Matko Przedziwna, módl się za nami!”. Ileż razy powtarzaliśmy to wezwanie z litanii loretańskiej. Nieuważnie, bezrefleksyjnie. Ale właśnie ten epitet odnoszący się do Maryi stał się natchnieniem dla pewnego pobożnego księdza. Kapłana, w którego dziele i życiu wyraźnie widać rękę Opatrzności.

Pełna niezwykłych przypadków, zbiegów okoliczności jest historia ojca Josefa Kentenicha, założyciela Ruchu Szensztackiego.

Młody pallotyn

Josef Kentenich urodził się w 1885 roku w Niemczech, nieopodal Kolonii. Gdy miał osiem lat, matka oddała go do sierocińca ze względu na biedę (wychowywała go samotnie). Czyniąc to, zawierzyła go Matce Bożej, prosząc ją, by była dla jej syna Matką i Wychowawczynią. Ojciec Kentenich mówił potem, że to zawierzenie miało ogromny wpływ na historię jego życia.

Dosyć szybko rozeznał, że powinien zostać kapłanem. Mimo licznych trudności udało mu się w wieku dziewiętnastu lat wstąpić do pallotynów w Limburgu. Po pięciu latach studiów otrzymał święcenia kapłańskie.

Jego przełożeni dwa lata później, w 1912 roku, wysłali go do Szensztatu (niem. *Schönstatt*), dzielnicy miasta Vallendar. Otrzymał za zadanie bycie duchowym opiekunem uczniów prowadzonego przez pallotynów Domu Studiów, czyli niższego seminarium duchownego.

Przycmentarna kaplica

Ojciec Josef Kentenich stawiał przed młodzieżą jasny cel: „Pod opieką Maryi chcemy się uczyć kształtowania w sobie mocnych, wolnych kapłańskich charakterów”. Jednym z elementów jego duchowej pedagogiki stanowiło specjalne przymierze miłości z Maryją – zawierzenie się Niepokalanej i postanowienie codziennego wysiłku w kształtowaniu siebie w chrześcijańskim duchu.

Ośrodkiem duszpasterskim dla uczniów Domu Studiów była przycmentarna kapliczka pod wezwaniem św. Michała Archanioła. 18 października 1914 roku wraz z uczniami zawarł w niej uroczyste tak zwane przymierze miłości z Maryją. Wówczas zrodziła się też idea Ruchu Szensztackiego – ruchu odnowy dotyczącej zarówno duchownych, jak i świeckich. Kaplica została przemianowana na **Sanktuarium Matki Bożej Trzykroć Przedziwnej i Zwycięskiej Królowej z Szensztatu**. Od tamtej pory niemiecki pallotyn zajmował się głównie szerzeniem idei Ruchu Szensztackiego. Jako swoją podstawę przyjął on trzy idee, którymi były **zadomowienie, wewnętrzna przemiana i skuteczne apostołstwo**. I co ciekawe, w ich popularyzacji pomógł narodowy socjalizm.

Burzliwe lata

Rozwijający się Ruch Szensztacki nie umknął uwadze nazistów. Utrudniali oni działalność o. Josefa i w 1941 roku osadzili go w obozie koncentracyjnym w Dachau. Tam spotkał wielu księży (większość duchownych trafiała właśnie do Dachau), którzy po zakończeniu wojny przenieśli ideę Ruchu Szensztackiego do innych krajów. W ten sposób Szensztat stał się ruchem międzynarodowym.

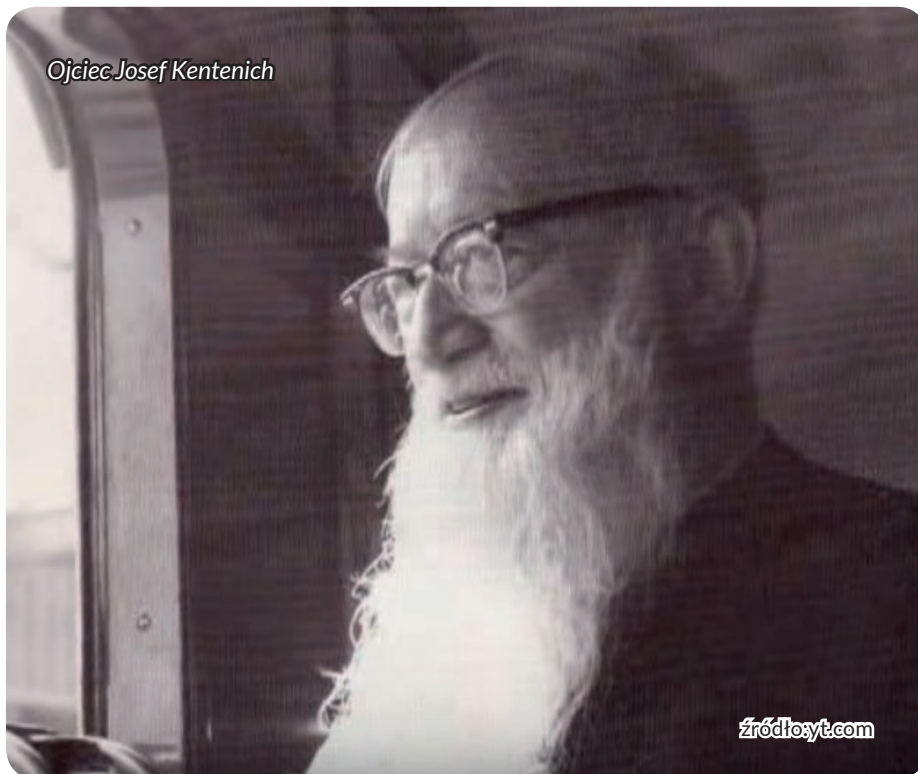
Jednakże w 1951 roku ojciec założyciel otrzymał polecenie opuszczenia centrum ruchu i przeniesienia się do Milwaukee



Ojciec Josef Kentenich w młodości

źródło: [wikimedia.org](https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Josef_Kentenich.jpg)

w stanie Wisconsin w USA, na wybrzeżu jeziora Michigan. Tam spędził czternaście lat. Dopiero w Wigilię 1965 roku, otrzymawszy błogosławieństwo papieża Pawła VI, wrócił do Szensztatu. Przez trzy lata wytrwale pracował na rzecz rozwoju ruchu. Zmarł we wrześniu 1968 roku w zakrystii nowo powstałego kościoła Trójcy Świętej na Górze Szensztat, chwilę po odprawieniu swojej ostatniej mszy świętej. Został już ogłoszony Sługą Bożym, trwa więc jego proces beatyfikacyjny.



Różne duchowe gałęzie

Ruch Szensztacki ma rozmaite formy. Na życie konsekrowane w jego ramach decydują się ojcowie szensztaccy skupieni w Instytucie Ojców Szensztackich. Żyją wedle rad ewangelicznych na zasadzie przyrzeczeń (nie składają ślubów, dlatego nazywają się instytutem, a nie zakonem). Działają nie tylko w parafiach, ale w różnych częściach kraju prowadzą także domy rekolekcyjne i duszpasterstwa młodzieży. Zdarzają się też ojcowie żyjący jako pustelnicy, poświęcający się kontemplacji i kierownictwu duchowemu.

Formacja seminarzystów jest dość skomplikowana. Pierwszy jej etap to postulat, który zazwyczaj rozciąga się na okres od trzech do sześciu miesięcy, ale zdarza się, że trwa on dłużej. Jest to czas na zapoznanie ze wspólnotą oraz wieloaspektowe przygotowanie do nowicjatu. Ten z kolei stanowi czas duchowego rozwoju i trwa dwa lata. Odbywa się on w różnych miejscach świata (obecnie w Paragwaju), a podczas wyjazdu nowicjaci mówią w języku lokalnym. W tym czasie spędza się również pół roku w szpitalu, hospicjum lub innej placówce socjalnej.

Następnie przychodzi czas studentatu, który zazwyczaj trwa pięć lat i odbywa się w różnych miejscach. Jest on przerywany na rok, na czas praktyk pedagogicznych, często odbywających się w innym kraju niż studentat i wiążących się z nauką obcego języka.

Dopiero po przejściu powyższych etapów istnieje możliwość przyjęcia święceń kapłańskich. Tak rozplanowane przygotowanie do nich ma na celu ukształtowanie pobożnych kapłanów o szerokich horyzontach intelektualnych.

Formacja gałęzi żeńskiej, Sióstr Maryi, przebiega na podobnych zasadach, a kandydatki angażuje się w różnorodne formy działalności.

Ruch Szensztacki posiada również swoje świeckie odnogi, do których należy między innymi Ruch Młodych.

Duchowość codzienności

Pierwsza z trzech idei ruchu, czyli zadomowienie, oznacza zadomowienie w Sercu Maryi i Sercu Jezusa. Chodzi o to, by człowiek czuł się wszędzie jak w domu, bo w każdym miejscu można zachować więź z Bogiem. Wewnętrzna przemiana powinna dokonywać się każdego dnia, małymi krokami. Skuteczne apostołstwo, wynikające z dwóch poprzednich idei, oznacza skuteczne dotarcie z Ewangelią do drugiego człowieka.



Ważnym elementem jest też „duchowość narzędzia”, czyli świadomość, że jesteśmy tylko wykonawcami woli Bożej. Oprócz tego istotne dla Ruchu Szensztackiego jest przymierze miłości, ponawiane co miesiąc w tak zwany Dzień Przymierza.

W ruchu szczególnie podkreśla się wagę codzienności. To ona jest czasem Boga, który mówi do człowieka. To ona jest czasem na uświęcanie się. To ona jest przestrzenią, w której spełnia się nasze powołanie.

Jedność Ruchu Szensztackiego, który zarządzany pozostaje na sposób federacyjny, wyraża się w sanktuariach. Wszędzie,

źródło:szensztat.pl

gdzie się on rozwija i umacnia, budowane są Sanktuaria Matki Bożej Trzykroć Przedziwnej – dokładne kopie kaplicy z Szensztatu noszące to samo wezwanie.



źródło: unsplash.com

Czy liturgiści są potrzebni?



Piotr Ulrich

Spotkanie dwóch ludzi – liturgisty i „nie-liturgisty”. Jeden poucza drugiego, jak być powinno, drugi wytyka pierwszemu faryzeizm. Kto ma rację? Jak blisko lub daleko są liturgiści od sedna wiary, a jak postawa „nie-liturgistów” ma się do esencji kultu Bożego?

„Czym terrorysta różni się od liturgisty? Z terrorystą można jeszcze negocjować” – ten żart, karykaturalnie przedstawiający osoby zajmujące się liturgiką, funkcjonuje od dłuższego czasu zarówno w katolickiej części internetu, jak i na ustach wielu ludzi wierzących. Muszę się przyznać, że zawsze mnie on śmieszy – jednak nie dlatego, że uważam go za prawdziwy. Często w zakamarkach katolickiego internetu zdarza mi się trafić na dyskusję, która schodzi na tematy liturgiczne (czasem również biorę w niej udział). Zostawiam w tym miejscu fora i grupy dyskusyjne skupiające wyłącznie osoby zainteresowane tą tematyką. Chciałbym wyjść od nieco innej sytuacji – spotkania dwóch różnych stron – liturgisty (rozumianego nie jako określenie teologa, który obronił pracę doktorską z liturgiki, ale każdego pasjonata zarówno liturgiki, jak i liturgii) oraz człowieka, którego, mówiąc delikatnie, zasady liturgiczne nie interesują (na potrzeby niniejszego tekstu został on „nie-liturgistą”).

Bardzo często dochodzi tutaj do różnego rodzaju „zgrzytów” – liturgista zwraca uwagę, że kult Boży rządzi się własnymi prawami i określona sytuacja lub dyskusja nie powinny w ogóle mieć miejsca. Wówczas „nie-liturgista” zarzuca swojemu rozmówcy faryzeizm i utratę sensu wiary. Zaznaczam, że

niniejszy tekst nie będzie stanowił próby osądu żadnej ze stron sporu, ponieważ nie mam takiego prawa. Postaram się jednak odpowiedzieć na kilka pytań: „Kto zatem ma rację?” oraz „Czy takie dyskusje wśród katolików mają jakkolwiek rację bytu?”. Wreszcie: „Czy liturgiści są potrzebni?”, a także: „Czy liturgika związana jest z duchowością i wiarą?”.

Taka sytuacja...

Na początku warto powiedzieć kilka słów na temat wyżej wspomnianego sporu. Posłużę się w tym celu jednym przykładem. Pewien film na YouTube przedstawia artystyczne wykonanie piosenki *Hallelujah* autorstwa L. Cohena podczas ceremonii mszy ślubnej sprawowanej w katolickiej świątyni. Z pewnością jest to klip promujący danego artystę (czy też artystkę), który w swoim życiu na niejednym ślubie już śpiewał (i pragnie to kontynuować). Nagle film otrzymuje „łapkę w dół”, a pod nim pojawia się komentarz: „Ten utwór, w dodatku okraszony estradową manierą wykonawczą, nie jest pieśnią liturgiczną, ale świecką piosenką rozrywkową! Nie powinien być wykonywany w trakcie liturgii”. Po pewnym czasie pod tymże komentarzem opublikowanych zostaje wiele odpowiedzi w podobnym tonie, ale o nieco innej treści: „A kto to przyszedł? Pan maruda! Co w tym złego, że ta osoba tak pięknie wyraża siebie, a do tego oddaje cześć Panu Jezusowi?” albo „To jest właśnie faryzeizm w czystej postaci. Może para młoda zażyczyła sobie, aby wykonano właśnie tę piosenkę?”. Wreszcie w każdej dyskusji pojawia się komentarz-pułapka, który zdaniem „nie-liturgistów” nokautuje wszystkich ich antagonistów: „O co chodzi? Przecież Pan Jezus się nie obrazi”.



źródło: unsplash.com

Duch czy litera?

Podstawowym chyba zarzutem, który „nie-liturgiści” kierują w stronę swoich interlokutorów, jest przesadne przywiązanie do przepisów liturgicznych. Podstawowym argumentem stają się zaś słowa Apostoła Narodów: „Litera bowiem zabija, duch zaś ożywia” (2 Kor 3, 6). Liturgista w świetle tego zarzutu staje się w tym momencie współczesną figurą faryzeizmu. Ten stereotyp potwierdza także funkcjonujący w pewnych kręgach żart, który przytoczyłem na początku felietonu – postać liturgisty jako zatwardziałego, obłudnego faryzeusza, który siedzi po no-

cach nad przepisami, by w ciągu dnia rozpocząć szczytną misję nawracania świata poprzez łapanie liturgicznych zbrodniarzy, którzy te przepisy łamią. Podsumowując – terrorysta pozbawiony miłości. By odnieść się do tak nakreślonej sylwetki liturgisty, muszę najpierw zaznaczyć, że nie jestem w stanie stwierdzić, w jakim stopniu jest ona zgodna z prawdą.



Zacznijmy od czarnego charakteru, czyli liturgisty takiego, jakim go malują. Tutaj muszę zgodzić się z „nie-liturgistami”. Jeśli rzeczywiście czyjeś zainteresowanie kultem Bożym sprowadza się jedynie do znajomości i egzekwowania przepisów oraz toczenia wojen i wojenek o ich przestrzeganie w rzeczywistości liturgicznej, to taką postawę sprowadzić można do faryzeizmu. Głównym zarzutem wobec takowej jednostki staje się „terroryzm” i brak miłości. Nie mogę się jednak z nim zgodzić, ponieważ opisuje on wtórny skutek powierzchownego zainteresowania liturgią, a nie przyczynę, której upatrywałbym w nieumiejętności połączenia wspomnianych przepisów z istotą kultu Bożego.

Wchodzimy tutaj w zależność pomiędzy duchem a literą, a więc na gruncie liturgii – relacji między istotą kultu Bożego a przepisami liturgicznymi. Postawa oddzielająca przepisy liturgiczne od istotowej części kultu (a więc uświęcającego elementu liturgii, będącego domeną działania Boga) jest całkowicie niewłaściwa. Widzę tutaj zasadnicze ryzyko zupełnego zarzucenia duchowości w kulcie Bożym, a zajmowania się jedynie jej zewnętrznymi formami. Takie zachowanie, co muszę zaznaczyć z pełną świadomością, rzeczywiście może prowadzić do przyjęcia negatywnych postaw. Człowiek postrzegający liturgię jedynie na płaszczyźnie aktów zewnętrznych odcina się od ożywczego źródła łaski, które płynie z istoty liturgii.

Dostrzegam tu pewne niebezpieczeństwo, dotyczące często (jednak nie zawsze, co należy podkreślić) osoby, które pragną pogłębiać znajomość liturgiki w ramach hobby. Odnoszę wrażenie, że w momencie rozpoczynania drogi związanej z poznawaniem liturgii dotyka się najpierw samych przepisów, pomijając całą nadbudowę duchowości i teologii liturgii. Nie wiem, czy wynika to ze skomplikowania języka książek i artykułów o tematyce duchowej, czy z innych przesłanek, jednak prowadzi do opisanej powyżej sytuacji, w której sprowadza się liturgię jedynie do przedstawienia teatralnego. Wtedy nie staje się jednak ona niczym więcej, ponieważ odcina się kult Boży od jego nadprzyrodzonych korzeni, które muszą pozostać, by nie opierał się on jedynie na czczych inscenizacjach.

Nie sposób jednak wszystkich pasjonatów liturgii zrównać z faryzeuszami – byłoby to duże nadużycie i krzywdzące przekłamanie wrzucające wszystkich do jednego worka. Spotkałem się z napraw-

dę wieloma pasjonatami liturgii i śmiało mogę powiedzieć, że ich zainteresowanie nie sprowadza się do fascynacji zewnętrzną stroną kultu. Są to osoby, które prawdziwie żyją liturgią, chociażby przez złączenie z nią swojej pobożności – częste uczestnictwo w Mszy Świętej, odmawianie brewiarza, czy adorację eucharystyczną. Dysputy na temat przepisów liturgicznych należą zatem do procesów wtórnych w ich rozwoju, jednak nie uważam ich za zbyteczne, wręcz przeciwnie. Takie osoby najczęściej nazywa się faryzeuszami, gdy podejmują one próby konstruktywnej krytyki nadużyć liturgicznych, a wtedy jest to niestuszenie.

Gdy już „rozprawiliśmy się” z liturgistami, pora zająć się drugą stroną medalu, a więc „nie-liturgistami”. Uważam, że bardzo często przyjmowane przez nich postawy wynikają z niezrozumienia potrzeby uregulowania kultu konkretnymi normami. Widać to podczas obserwacji różnych dyskusji, między innymi tych w przestrzeni internetowej. Bardzo często natykam się na komentarze podobne do tego: „Po co Kościół jest taki skostniały? Gdyby był bardziej otwarty na ludzką inwencję, przyciągnąłby więcej osób. W modlitwie w kościele powinno być dużo więcej miejsca na wyrażenie siebie, bo o to chodzi w modlitwie. Te przepisy napisali ludzie, a nie Bóg, więc nie trzeba ich przestrzegać...”.

Apologia istnienia przepisów liturgicznych to temat-rzeka, jednak nie można jej pominąć i warto jej dokonać przynajmniej częściowo i pokrótce. Kult Boży strzeże najcenniejszego skarbu Kościoła, a więc łaski Bożej, która poprzez sakramenty święte pozwala nam dostąpić zbawienia. Przepisy liturgiczne pomagają tenże skarb zachować od skutków ludzkiego błędzenia, ponieważ ilu ludzi na świecie, tyle opinii na różne tematy. Nasuwa się w tym momencie riposta: „Przecież przepisy liturgiczne też ułożyli ludzie”. Tu już nie będzie tak łatwo, bo to kwestia wiary. Wierzmy, że Kościół hierarchiczny przy pomocy Ducha Świętego może zgodnie z wolą Bożą stanowić prawo na ziemi (por. Mt 6, 19). Istnienie przepisów liturgicznych wynika ponieważ z przytaczanego wciąż po-



źródło: unsplash.com

jęcia „ducha liturgii”, ponieważ Kościół potwierdza swoim autorytetem z natury rzeczy sprawowany przez niego publicznie kult Boży. Poszczególne normy dotyczące liturgii przenika jej duch. Powstaje więc pytanie, czy osoby, które pytają o to, co jest ważniejsze – duch czy litera – należycie rozumieją tego ducha. Czy „wyrażanie siebie” jest istotą liturgii? Wreszcie – czy w ogóle da się w pełni poznać istotę kultu Boga?

Ceremoniarze – potrzebni czy nie?

Zadanie powyższego pytania jest konieczne, ponieważ należy zauważyć, że osoby zainteresowane liturgią, czyli jej pasjonaci, dość często pełnią posługę ministrantów i ceremoniarzy w swoich parafiach. Poprzez swoją posługę próbują oni zgodnie z przepisami kształtować rzeczywistość liturgiczną w swoich parafiach, która bardzo często, należy to obiektywnie stwierdzić, sprzeciwia się woli Kościoła wyrażonej w księgach liturgicznych.

W świetle powyższych rozważań mogę z dużą dozą pewności stwierdzić, że odpowiedź na pytanie postawione w tytule jest twierdząca. Tak, ceremoniarze są potrzebni, ponieważ na całym świecie potrzeba osób odpowiedzialnych za sprawowanie kultu Bożego z należytą godnością i dbałością o szczegóły, także te zewnętrzne. Właśnie one wyrażają wewnętrzne tajemnice liturgii, a wiernym zgromadzonym w kościele pomagają poprzez zmysłowe poznanie zbliżyć się do Boga. Potrzebę posługi ceremoniarza, z obszernym wyjaśnieniem, uzasadnia *Ceremoniał liturgicznej posługi biskupów*: „Celem zapewnienia piękna, prostoty i porządku celebracji, szczególnie tej, której przewodniczy biskup, konieczny jest mistrz ceremonii, aby ją przygotował i poprowadził przy ścisłej współpracy z biskupem oraz innymi osobami odpowiedzialnymi za poszczególne jej części, zwłaszcza pod względem duszpasterskim. Mistrz ceremonii powinien być naprawdę znawcą świętej liturgii, jej historii i znaczenia, jej praw i przepisów. Winien się także orientować w dziedzinie duszpasterstwa i tak kształtować święte obrzędy, aby lud owocnie w nich uczestniczył i by odznaczały się pożądanym pięknem. Winien się troszczyć o przestrzeganie zasad świętych celebracji tak w zakresie ich ducha, jak i poszanowania prawomocnych tradycji Kościoła partykularnego, które mogą być pożyteczne z duszpasterskiego punktu widzenia” (CE 34). Zauważmy, że przepis nie ogranicza się do liturgii sprawowanej przez biskupa (którą jedynie wyszczególnia), ale traktuje o każdej uroczystości celebrowanej liturgii. Ustanowienie posługi ceremoniarza przy parafiach i przekazanie im odpowiedzialności za należyte przygotowanie liturgii będzie wyrazem troski o piękno oraz godność kultu – zarówno ze strony duchowieństwa, jak i świeckich obecnych w Kościele. Warto dbać o szczegóły dotyczące liturgii, ponieważ „kto w drobnej rzeczy jest wierny, ten i w wielkiej będzie wierny; a kto w drobnej rzeczy jest nieuczciwy, ten i w wielkiej nieuczciwy będzie” (Łk 16, 10). *Sapienti sat.*



źródło:unsplash.com

Listy Pielgrzyma, wpis trzeci



Tomasz Leszczyński

Sierakowice, 09.04.2018

Raport z pielgrzymki

22 października tamtego roku rozpoczął się inaczej niż planowałem. Miałem obudzić się o trzeciej, by jechać do Olsztyna na koncert. Obudziłem się, owszem, problem tkwił w tym, że zasnąłem około 1:00.

Dzień wcześniej długą modlitwą przygotowywałem się do tego wydarzenia, rozważając tajemnice radosne.

Podczas drogi do Olsztyna zacząłem zadawać sobie pytania, skąd ten cały rap, skąd wziął się w moim życiu pomysł, by właśnie nim przekazywać swoje świadectwo wiary.

Do refleksji zmusiły mnie właśnie wcześniej rozważane tajemnice.

I tu pojawia dobre pytanie zarówno do mnie, jak i do Ciebie – czy Ty dajesz dobre świadectwo swojej wiary? Albo – w jaki sposób je dajesz?

Tak naprawdę nie trzeba zbyt wysublimowanych słów, bogatego słownictwa. Sam mam z tym ogromny problem, dlatego też ważyłem każde słowo i zanim dojechałem na miejsce, miałem gotową przemowę. A nie było to wcale potrzebne.

Chwila prawdy?

Stanąwszy na scenie, czułem ogromną radość. Wcześniejsze ogromne zmęczenie i senność zmieniły się w niesamowitą energię po zaledwie kilkunastu minutach kontemplacji, modlitwy o Ducha Świętego. Czy Ty potrafisz w takich momentach pomodlić się o łaskę? To ważne pytanie, które trzeba zadać sobie w każdej, ważnej lub mniej ważnej chwili życia.

Wracając do świadectwa, o którym pisałem wyżej. Z tego, co sobie ułożyłem w głowie, nie powiedziałem totalnie nic. Sytuacja w klubie przerosła moje najśmielsze oczekiwania. Otrzymany ogrom miłości, łaski wpłynął na moją duchowość na tyle, że zacząłem się zastanawiać nad misją, którą mam w życiu. Pozwól, czytelniku, że zapytam o jeszcze jedną kwestię.

Czy pytałeś Boga o swoje powołanie?

Tamtego wieczoru miałem poczucie „stałego łącza” między niebem a ziemią. Wpływ endorfin skłonił mnie do przemyślenia swojej sytuacji życiowej.

Podjąłem decyzję: „Chcę być raperem i głosić chwałę Bożą”.

Ilekoć o tym myślę, widzę, że to, co planuje Bóg, niesie dobre owoce.

Przyznam się szczerze, że na Bogu jeszcze nigdy się nie zawiodłem. I Ty także, tak jak pisałem w poprzednich listach, nigdy się na Nim nie zawiedziesz. To lokata, która przez całe życie będzie z dużym procentem zwracać wszystko, co dajesz od siebie.

Czas na mnie, wracam do domu po kolejnym występie, tym razem w Warszawie.

Życzę Ci miłego dnia i błogosławieństwa Bożego.

Twój Tomek

a⁺



źródło:unsplash.com



Katolik po operacji nosa. Poprawiać Pana Boga?



Joanna Smarzyńska

Mnóstwo zdjęć udostępnianych każdego dnia przez internetową społeczność całego świata, kolorowe magazyny, nieustanna pogoń za pięknem sprawiają, że możemy poczuć się nieco... wybrakowani. Zarazem dzięki prężnemu rozwojowi medycyny mamy narzędzia, by coś z tym zrobić. Za duży nos czy odstające uszy można stosunkowo łatwo skorygować, choć bez uszczerbku dla naszego portfela się nie obejdzie. Teoretycznie możemy wszystko. A co na to Pan Bóg? Czy każda operacja plastyczna jest z punktu widzenia moralności chrześcijańskiej zła?

Biblia i wygląd

Kwestia operacji plastycznych jest problemem etycznym, którego znaczenie w ostatnich latach wyjątkowo wzrosło. Choć Biblia o operacjach plastycznych wprost nie mówi, to niewątpliwie wielokrotnie o wyglądzie wspomina. Piękny był Dawid (1 Sm 17,42). Estera dzięki swojemu pięknu zyskała łaskę u króla i ten wstawił się za Izraelem. Z kolei Judyta użyła swej urody w nieco bardziej drastyczny sposób, również ratując swój naród. Dużo wzmianek o wyglądzie znajdziemy też naturalnie w *Pieśni nad Pieśniami*, poemacie przepełnionym wspólnym zachwytem dwojga zakochanych.

Abstrahując od tych wszystkich przykładów, musimy jednak cofnąć się do samego początku. W raju Bóg stworzył nas na swoje podobieństwo. Zachwycił się i stwierdził, że Jego stworzenie było „dobre”, co może znaczyć też „piękne”. Co więcej, w kanonie 341 Katechizmu Kościoła Katolickiego napisano, że „piękno stworzenia jest odbiciem nieskończonego piękna Stwórcy”.

Biblia nie raz wskazuje, że piękny wygląd nie zastąpi mądrości i bojaźni Bożej, a najważniejsze jest piękno wewnętrzne i to przede wszystkim do niego mamy dążyć. Nie ulegajmy jednak pokusie pogardy dla własnego ciała. Jesteśmy zarówno ciałem, jak i duchem. Ciało jest świątynią Ducha, a pogardzanie nim było już przedmiotem herezji m.in. katarów. Ludzie ci wierzyli, że ciało stworzył szatan, a wszelka cielesność jest zła. Dbłość o wygląd uważali więc za wykroczenie przeciw swoim wierzeniom. Zaś jako katolicy powinniśmy pamiętać, że stworzeni przez Boga jako integralna całość, składająca się z ciała i ducha, winniśmy dbać również o nie i traktować je jako dar – co znaczy, że nie jesteśmy upoważnieni do oszpecania go wedle własnych zachcianek.

Zabieg zabiegowi nierówny

Nie możemy też zbyt upraszczać. W nauce rozróżnia się tego typu ingerencję w ludzkie ciało na podstawie jej celu. Tzn. czy wykonywana jest w celu terapeutycznym, bo np. ktoś uległ wypadkowi bądź urodził się z jakąś rażącą wadą, czy wyłącznie „z próżności” (Nesterowicz M., *Prawo medyczne*, 2016, Toruń). Ta pierwsza grupa zabiegów będzie zmierzać do usunięcia rażącej wady i przywrócenia „normalnego” wyglądu, zaś celem operacji z próżności będzie wyłącznie poprawa wyglądu i pewności siebie danej osoby. Co ważne, to, do której grupy należy zabieg, nie powinno być uzależnione od subiektywnego postrzegania przez pacjenta. Już na pierwszy rzut oka jest to dość sensowny podział, mogący się przydać w ocenie, czy działanie, którego chcemy się podjąć, jest przejawem jakiejś naszej zachcianki, nie do końca uzasadnionych kompleksów, czy jest medycznie uzasadnione.

Jednak czasami problem jest poważny i wada realnie uniemożliwia normalne funkcjonowanie. Dlaczego by zatem nie skorzystać z rozwoju nauki?

Pogoń za pięknem – novum czy wpisane w nas od zawsze pragnienie?

Ku zdziwieniu pewnie niejednego czytelnika, historia operacji plastycznych jest bardzo długa. Jedne z pierwszych wzmianek na ten temat pochodzą z Egiptu z XVIII w p.n.e. Dotyczyły one zabiegów usuwających skutki naturalnych defektów



źródło: pexels.com



lub deformacji spowodowanych zdarzeniami losowymi. Podobnie rzecz wyglądała w Indiach, gdzie dokonywano rekonstrukcji nosa czy uszu utraconych wskutek wykonywania kar, np. za niewierność (W. Szumowski W., *Historia medycyny: ujęcie filozoficzne*, 1994, Warszawa). Starożytni kochali piękno, zachwycali się nim. Tworzyli wspaniałe rzeźby, jak *Wenus z Milo*, starali się jak najdokładniej odwzorować idealne proporcje ludzkiego ciała. W średniowieczu tendencja ta uległa jednak odwróceniu. Piękno stanowiło pokusę do grzechu, sztuka skoncentrowała się na Bogu. Jednak św. Tomasz zwracał uwagę na kwestie wyglądu w kontekście małżeńskich powinności. Jego zdaniem, małżonek powinien starać się podobać współmałżonkowi (Gałuszka T. OP, Muller M., *Tatuaż ze św. Tomaszem*, „W drodze” 10/2018, nr 542).

Mimo iż wygląd jest z reguły dla człowieka ważny, warto pamiętać, że kanony piękna ulegają znacznym zmianom. Przykład? Rubens i jego dzieła. Dziś kobiety z jego twórczości raczej nie do końca wpasowują się we wzór filigranowej trenerki fitnessu.

Manipulacje dla zysku

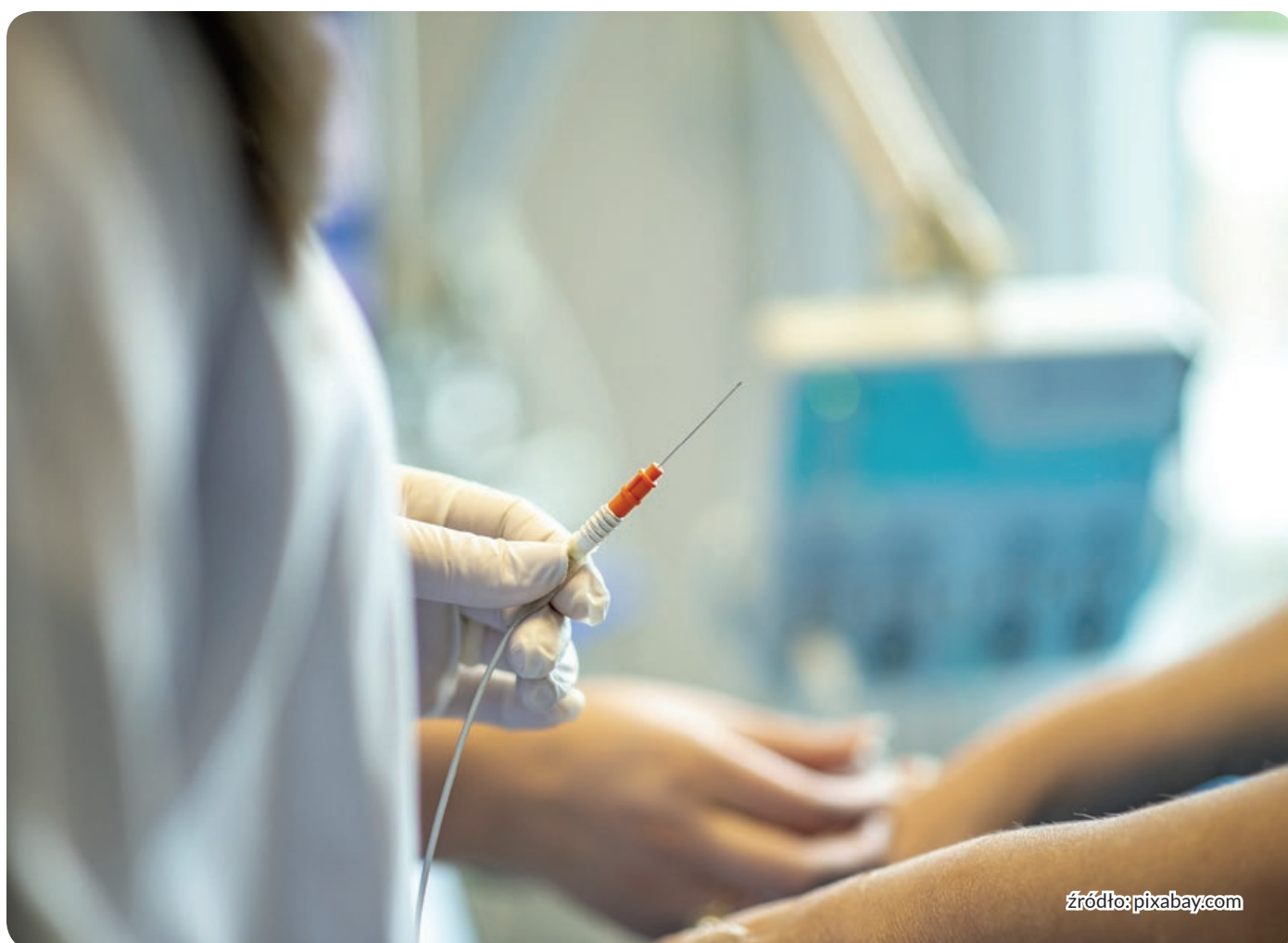
Zanim wpadniemy w rozpacz i kompleksy z powodu wpajanych w nas, często niedoścignionych wzorców, pomyślimy o tym, że *beauty business* bardzo się opłaca i oczywiste jest, że próbuje się nam wmówić, że coś jest nie tak. Przykładem może być tu sytuacja z USA, gdzie w pewnym czasie prowadzono bardzo agresywną kampanię mającą na celu wmawianie kobietom, że mały biust to jednostka chorobowa (Bagińska E., *Odpowiedzialność cywilna za niekorzystne skutki silikonowych implantów piersi w systemie prawnym USA*, „Prawo i Medycyna” 11/2002). Może zatem zamiast wydawać krocie na poprawianie siebie zainwestujemy w zdrowe odżywianie i regularny trening fizyczny? Brzmi tak banalnie,

a często nie tylko wpływa na naszą aparycję, ale też na zdrowie i ogólne poczucie własnej wartości. Może warto czasem ze swoich wad zrobić też jakiś atut, w postaci cechy wyróżniającej, jak robiły to niektóre aktorki.

Człowiek powinien liczyć się z konsekwencjami swoich czynów. Pamiętajmy, że każda ingerencja w ludzkie ciało może pociągnąć za sobą powikłania. Dobrze zadać sobie czasem pytanie, czy warto poświęcić zdrowie dla mniejszego nosa.

Podsumowanie

Jak o wygląd każdej świątyni, o świątynię Ducha Świętego, którą jest człowiek, dbać trzeba. Nie można jednoznacznie rozstrzygnąć na pierwszy rzut oka, czy podjęcie się inwazyjnego zabiegu jest złe samo w sobie. Warto, by rzetelnie ocenił to lekarz. Twarz zniszczona wypadkiem czy wrodzona, rzucająca się w oczy wada mogą z punktu widzenia etyki uzasadniać takie działanie. Z pewnością katolik nie powinien ryzykować utratą zdrowia z powodu kompleksów czy zmiennych kanonów piękna. Warto rozsądnie podchodzić do takich decyzji. Z całą pewnością można stwierdzić, że zabiegi podejmowane wyłącznie z próżności są nie do pogodzenia z nauką Kościoła.

a⁺

źródło: pixabay.com



źródło:unsplash.com

Po Namyśle – A po co mam wybierać?



Krzysztof J. Namyslak

OSIEM RODZAJÓW HERBAT. Czy wręcz dziesięć. Po co to komu? Kiedy ci ludzie to pijają? To już nie jest prosty dylemat – kawa czy herbata (to znaczy dla mnie prosty, bo kawy nie pijam wcale). To wyewoluowało do nieogarnialnych rozumem rozmiarów. Następuje recytacja „oferty”. Pod koniec nie pamiętasz już, jakie były na początku. Mózg lasuje ci się od nadmiaru opcji. Spiećcie na synapsach.

Całe nasze życie składa się z wyborów. Od zupełnie błahych po takie, które są w stanie wpłynąć na kształt rzeczywistości, jaką znamy. Czasem czujemy, że powinniśmy wybrać sami, bo tak będzie najlepiej, a czasem jest na nas wywierana presja tak silna, że dokonujemy wyboru jak najszybciej, żeby tylko pozbyć się natrętnego „czynnika zewnętrznego”.

Mitologizacja wolności wyboru

Gdziekolwiek w przestrzeni publicznej można natknąć się na ludzi, którzy są święcie przekonani, że wybierać sobie można dosłownie wszystko. I że ten wybór przysługuje niezależnie od tego, nad czym debatujemy. W ten sposób uzyskujemy ludzi, którzy nagle, ni stąd, ni zowąd, wybierają sobie na przykład inną płć. W następstwie uzasadniania swojej decyzji zaczynają upierać się

przy tym, że każdy ma mieć możliwość sobie wybrać. Stąd na przykład ostatnia sytuacja z „czteroletnim transpłciowym dzieckiem”. Albo weźmy na tapet zwolenników eutanazji. Każdy może przecież wybrać sobie swój moment śmierci. W takiej Holandii wystarczy mieć lat dwanaście, żeby podjąć tak ważną „życiową” decyzję. W Belgii w ogóle nie ma dolnej granicy wieku. Wystarczy do tego opinia psychiatry dziecięcego, że „decyzja dziecka nie została przez nikogo wymuszona”. Dalej w kolejce mamy fundamentalistów *pro-choice*, zwanych czasem niebezpiecznie *anti-life*. Przecież można sobie wybrać, czy dziecko zostanie urodzone, czy też nie. Nawet w „standardach” opieki lekarskiej ichniejszych organizacji jest napisane, że lekarz ma mówić o dziecku lub o płodzie – w zależności od tego, czy kobieta sprawia wrażenie bardziej matki, czy jednak raczej potencjalnej dzieciobójczyny. A powody takiego, a nie innego wyboru przecież mogą być wszelakie. W dobie wszechobecnego nonjudgmentalizmu nie można przecież kwestionować, czy ktoś zrobił to z powodu za małego mieszkania, miłości do zwierząt czy traktowania aborcji jako awaryjnej antykoncepcji.

Uważam, że powinni pójść jeszcze bardziej do przodu i pozwolić dzieciom świadomie wybrać język, którym będą się posługiwać, wiek, w którym w danym momencie są, oraz najlepiej możliwość określania koloru włosów, który mają, bez konieczności farbowania na ten kolor. W ten sposób otrzymamy dziecko, które będzie czterdziestoosmioletnim brunetem o jasnych włosach, którego nikt nie zrozumie.

Oczywiście religię też trzeba pozwolić dziecku wybrać. No bo jak to tak: sugerować swoją wiarę, przekonania i system wartości? Oczywiście, w przeciwieństwie do tak trywialnych spraw, jak wybór płci czy decyzja o eutanazji, żeby zdecydować się na wiarę, trzeba mieć już według tych ludzi co najmniej „wiek, w jakim przyjmuje się bierzmowanie”.



Co wybrać?

Gilbert Keith Chesterton w jednym ze swoich esejów napisał kiedyś, że nawet gdyby matka chciała wychować dziecko na samotnej wyspie otoczonej rozległymi wodami, żeby nie skaziły go żadne przesady i tradycje społeczne, będzie to wyspa, którą ta kobieta wybierze. I to na nią spadnie odpowiedzialność za ten wybór. Zatem czegokolwiek nie, które środowiska by nie postulowały, to zawsze przede wszystkim od rodziny będzie zależało, jakich wyborów życiowych dokona człowiek – najpierw w latach



źródło: unsplash.com

swojej młodości, a później przez resztę życia. I, oczywiście, błędy się zdarzają. Ale po to człowiek całe życie się uczy, żeby minimalizować częstotliwość ich występowania. Żeby osiąść wiedzę, która pozwoli mu na dokonywanie wyborów jak najlepszych.

Tego zresztą wymaga ponieważ obecnie panujący w naszym kraju ustrój. Niedawno oczy wszystkich Polaków zwrócone były na polską scenę polityczną, gdzie spośród wielu kandydatów trzeba było wybrać najodpowiedniejszego, zgodnie z sumieniem. Żeby podejmować tak istotne dla życia wielu ludzi wybory, trzeba właśnie posiadać wiedzę, która wlewana jest nam do głowy od najmłodszych lat.

Z tego też wynika refleksja, żeby modlić się za polityków. I o to, żebyśmy zawsze dokonywali właściwych wyborów.

A co z tą herbatą?

Moja metoda jest taka, że jeśli żadna z opcji nie jest ani wybitnie zła, ani wybitnie dobra, to cokolwiek losowo wybiorę – będę zadowolony. Oczywiście, rozszerzając zasadę „a po co mam wybierać, najlepiej zabrać obie”, zawsze można siedzieć w gościnie tak długo, aż wypije się po jednej filiżance każdego rodzaju.

A to już można robić chociażby w porządku alfabetycznym.

DUCHOWY PREZENT ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA

PODARUJ DZIECKU
COŚ WYJĄTKOWEGO
WWW.DUCHOWYPREZENT.PL

ORGANIZATORZY:



PARAFIA RZYMSKOKATOLICKA
PW. ŚW. MIKOŁAJA W LUBLINIE



WYDZIAŁ DUCHOWOŚCI PARAFIALNEJ

PATRONAT MEDIALNY:

różaniec

Radio Via

Echo Katolickie

Plus

87.9 FM

OPOKA

.org.pl



PRZEWODNIK
KATOLICKI

